№ 43 Piątek, dnia 23 Lipca 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 11 (23) Lipca 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Ś-to Jerskiej Nr. 1769b. (nowy 12) róg Nowiniarskiej.

NA MYLNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA.

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg. — Patrz w Numer 42).

II.

Tego samego dnia pod wieczór, pomiędzy godziną piątą a szóstą, na ganku przed domem siedziała zebrana nieliczna rodzina państwa Gasztoldów. Dom był drewniany ale na wysokiem podmurowaniu, obszerny i widocznie z obmyśleniem na wygodę stawiany; od strony dziedzińca duży ganek pokryty dachem wspartym na czterech murowanych słupach, otoczony dokoła żelazną balustradą, po której wiły się gęsto zielone latorośle dzikiego wina. Ganek obrócony ku północy widocznie był ulubionem miejscem letniego posiedzenia domowych, o czem świadczyły ustawione tam wygodne ławki i duży stół, na którym stała blaszana wanienka z lodem, a w niej karafka z wodą i parę butelek soku. Dla gospodarzy domu posiedzenie na ganku było przyjemnem, a nawet pożytecznem.

Dziedziniec urządzony ozdobnie na sposób nowoczesny, więc przedzielony płotem od gospodarskich zabudowań i osadzony kląbami pięknych krzewów, ale płot ten niski a kląby tak umieszczone, ażeby nie zupełnie zasłaniały to, co się na drugim dziedzińcu dzieje. Po obu stronach domu stały dwie obszerne i ozdobne budowle frontem zupełnie sobie odpowiadające, każda o dwóch gankach połączonych z sobą galeryą zielono obrosłą. Jedną była oficyna, mieszcząca kuchnię, mieszkania oficyalistów i od frontu parę ślicznych eleganckich pokoików gościnnych, których utrzymanie w porządku, powierzone było szczególnej opiece panienek. Poza oficyną, były osobnym dziedzińcem objęte zabudowania kobiecemu gospodarstwu przeznaczone; więc piekarnia, pralnia, mleczarnia, obszerne chlewki, kurniki, a wśród tego wszystkiego królował wysoki gołębnik w chińskim guście z zielonym daszkiem.

Całe to obejście pod bacznym było kierunkiem pani Gasztoldowej, a co tam była za czystość i porządek w każdym kątku, jak to tam szło wszystko jak w zegarku, to aż rozkosz było patrzeć; ścieżki zawsze starannie umiecione, wszystkie drewniane naczynia w które obfituje każde gospodarstwo domowe, tak białe i czysto utrzymane, jakby tylko co wyszły z warsztatu bednarza; na dziedzińcu pełno kur, indyków, niewielka sadzawka poza piekarnią, pełna kaczek i gęsi, na majdanku przed chlewkami przewalają się z nogi na nogę opasłe wieprze—słowem istny róg wiejskiej obfitości. Drugie zabudowanie stojące na przeciw oficyny było wytworną stajnią, której urządzenie jasno wskazywało, że Gasztold, jak prawie wszystka nasza szlachta namiętnie lubił konie; a że nietylko lubił ale i znał się na nich poznać było łatwo, bo stajnia pełna była koni pięknych znacznej wartości, po większej części własnego chowu, bo obyczajem dawniejszych naszych obywateli, utrzymywał liczną stadninę, ku czemu dopomagały obszerne pastwiska i znaczna ilość doborowego siana w które i Zalesie, majętność Gasztoldów, obfitowała, jak większa część naszych dworskich posiadłości. Poza stajnią było kilka budowli wydziałowi stajennemu poświęconych, a z takim komfortem i wygodą urządzonych, żenajpierwszy z zagranicznych sportsmenów nie powstydziłby się ich z pewnością. W prost ganku, jak pisaliśmy, płotem odgrodzony, ale o ile można najmniej zasłonięty był dziedziniec gospodarski, tam stodoły, spichlerze, szopy na siano i słomę, obory, owczarnia, wszystko to porządnie zabudowane, czerotowemi dachami kryte, całe, proste, wybornie utrzymane a wtej chwili rojące się ludźmi; właśnie bowiem korzystano z pogody i zwożono z pośpiechem świeżo zebrane siano zielone i pachnące, co swym aromatem cały dwór zapełniało.

Gasztold już szpakowały, ale świeży jeszcze na twarzy, znać czerstwy i zdrów, w garniturze z popielatej dymy, przy czystej jak śnieg bieliźnie, prawie elegancko wyglądał; palił fajkę na długim cybuchu i rozmawiał z żoną, która siedząc na ławce obok niego robiła jakąś robótkę. Pani Gasztoldowa znać była kiedyś bardzo piękną, bo ślady tego, pozostały jeszcze dotąd w jej regularnych rysach, które dzisiaj zdobił wyraz niezmiernej łagodności i powagi, co postawie jej nadawało charakterystyczną cechę prawdziwej matrony.

Przy bocznym stoliku, po drugiej stronie siedziały znajome nam już dobrze Anna i Wanda, przed niemi leżało mnóstwo starych i nowych kawałków perkali i wełnianych materyi a wszystkie w jaskrawych kolorach, z nich kroiły i szyły kaftaniki i czapeczki dla dzieci wioskowych, zwykłe podarki dożynkowe, a choć do dożynek jeszcze było daleko, już się jednak przygotowywano potrosze, bo włość była liczna a wszystkie matki obdzielić wypadało; wstążki i paciorki dla dziewcząt, a noże i zapinki do koszul dla parobków, kupowano hurtem u kramarzy wędrownych. Z pod stosu różnobarwnych gałganków wyglądała rozłożona, niedawno wyszła z druku książka, a już znana powszechnie, przekład Odyńca, „Dziewica z Jeziora," a z niej obie panienki na wyścigi uczuły się na pamięć niektórych bardziej porywających ustępów powtarzając je półgłosem.

Po niejakiej chwili, Wanda rzuciła robotę, klasnęła w rączki wołając. Już umiem! i dźwięcznym głosem zadeklamowała bój Duglasa z Fitz-Jakubem. Pan Gasztold wypuścił fajkę z ust, słuchał z coraz żywszem zajęciem i zdawał się być porwanym życiem, które tryskało z opisu walki szlachetnych rycerzy, bo powstał i pokręcając wąsa chodził po ganku. Kiedy Wanda skończyła:

— Niechno ojczulek poczeka, jeszcze i ja coś powiem, odezwała się Anna i mówić zaczęła przepyszny początek poematu. Gasztold słuchał zachwycony.

— To mi dopiero genialny poeta co umie tak schwycić prawdę natury, mówił z zapałem, takie arcydzieło słysząc, to dopiero poznać i ocenić można bogactwo naszego języka; i zaczęto mówić o oryginalnych i tłómaczonych utworach poezyi jakie wyszły w naszym języku, a z rozmowy znaczno było że w tym domu czytano. Gasztold mówił, a co chwila spoglądał w stronę gospodarskiego dziedzińca, nareszcie zawołał donośnie—Franek! na to wezwanie wbiegł na ganek chłopiec z kredensu w czerwonej kamizelce, w białym fartuchu na którym ślady cegły świadczyły że zajętym był właśnie czyszczeniem samowara, stanął w progu i rzekł:

— Słucham, panie.

— Biegaj do szopy i powiedz gumiennemu co tam stoi, żeby napędził fornali; niech nie marudzą zrzucając siano, a jeżeli się fury zjadą i jedna na drugą czekać musi to niech pilnuje, ażeby podrzucali koniom siana, niech głodne przez ten czas nie stoją, rozumiesz?

— Rozumiem panie i skoczył po schodach na dziedziniec.

— Czekaj jeszcze, zawołał za nim pan Gasztold—chłopiec tym samym pędem wrócił nazad — powiedz jeszcze gumiennemu żeby mi akuratnie wozy karbował i zapytaj ile dotąd zwieziono? Chłopiec rozkazu wysłuchał

i jak strzała puścił się w stronę stodół, a znać że przywykł już był do podobnych zleceń bo ani chwili nie zmarudził i natychmiast powrócił z raportem.

— Skocz mi jeszcze do stajni, dysponował mu pan Gasztold, i powiedz żeby jak będą prowadzili sokoła do wpdopoju, niech włożą na niego arkan, koń wesoły a zastał się, może się wyrwać, jak wpadnie pomiędzy wozy jeszcze się skaleczyć może. Chłopiec w mgnieniu oka zniknął w kłąbach i wpadł do stajni. I tak pan Gasztold siedząc na ganku kierował gospodarstwem a Franek latał z jednego w drugi koniec dworu, nosząc rozkazy i rozporządzenia pana, co o wszystkiem pamiętał i nad wszystkiem czuwał.

Wielki zegar w przedpokoju wybił donośnie wpół do szóstej. Anna położyła robotę i wyszła. Pani Gasztoldowa sama kierowała zarządem całego domu, ale Anna i Wanda po kolei jej dopomagały; co niedziela jedna drugiej oddawała klucze i zmieniały się na ordynansie, który trwał cały tydzień. Każda z panienek w ciągu swego tygodnia obowiązana była wiedzieć o wszystkiem co się w zakresie domowego gospodarstwa robi, zdać dokładne o tem sprawozdanie, odebrać rozporządzenia i samej dopilnować akuratnego ich wykonania.

Wyznać jednak potrzeba, że tylko w tygodniu Anny pani Gasztoldowa miała prawdziwą pomoc w administrowaniu domem; lubiła ona tego rodzaju zajęcie i z wszelką dokładnością pełniła swoje obowiązki.

Wandę zać nudziło to wszystko i niechętnie się tem zajmowała ulegając tylko napomnieniom i perswazyom ciotki. W jej zapalonej główce roiło się pełno rzeczy i nie mogło w niej się pomieścić, ażeby umiejętność zarządzania domem mogła być ważną dla kobiety wyższej wykształceniem umysłowem.

W małą chwilę po wyjściu Anny, wszedł służący i zaczął przygotowywać do herbaty, którą zawsze w dnie letnie, pogodne, pijano na ganku; zastawa była staranna, gdyż raz na zawsze przyjętym było trybem w Zalesiu, że czy to byli goście, czy też niebyło nikogo, cały porządek domu był zawsze jednaki, było zawsze porządnie i dostatnio, ale bez żadnej wystawy i parady na pokaz. Jeśli przyjechał kto niespodzianie na obiad, to obiadu nie przerabiano, nie dodawano nic, przyjęto gościa czem było a pomimo to nikt głodnym nie odjechał. W domu był ład i dostatek, gość nie robił kłopotu i różnicy, więc witano go ze szczerą serdecznością, a i sąsiedzi dalsi i bliżsi radzi jechali do Zalesia, tam było każdemu prawdziwie przyjemnie i wesoło i swobodnie jak nigdzie. Nie było też dnia prawie ażeby ktoś nie przyjechał i dziś też właśnie kiedy Anna stawiała imbryczek na samowarze, w alei po za bramą zatętniały końskie kopyta, pan Gasztold spojrzał i z widocznem zadowoleniem powiedział:

— Otóż i poczciwy Janusz Zadora na herbatkę do nas spieszy. Na dziedzieniec wjechał w pełnym kłusie jezdziec na siwym koniu; o kilkanaście kroków od ganku osadził go i już stępo dojechał; ze stajni wybiegł chłopiec stajenny, znać w dobrej szkole wyuczony, wziął konia za cugle, drugą ręką przytrzymał zsiadającemu strzemię, po czem odpuścił popręgi, odpiął łańcuszek od munsztuka i zaczął zwolna około trawnika wodzić wierzchowca ażeby się wysapał zanim go do stajni odprowadzi. Janusz wszedł na ganenk; był to młody człowiek, mogący mieć dwadzieścia sześć lat najwięcej, dorodnej postawy, przystojny, rysów może nie nazbyt regularnych, ale zdobił je wyraz szczery, otwarty i rozumny, włosy i wąsik blond ułożone ze staraniem, ale bez wymuszonej przesady; jasno popielaty garnitur szykownie go ubierał a całość powierzchowności była niezmiernie sympatyczna — pan Gasztold spotkał go na schodach i powitał serdecznym uściskiem.

— Bóg zapłać panie Januszu, żeś nas odwiedził.

— Ja zawsze ochoczo zdążam do Zalesia; odpowiedział przybyły całując w ramię gospodarza.

— Nie bardzo przekonywające dajesz tego dowdzy, boś od dwóch tygodni ani zajrzał do nas.

— Nie mogłem, Bóg widzi że nie mogłem, tłómaczył się młody człowiek. Pocałował w rękę gosodynią domu i ukłonił się panienkom.

— Jakże zdrowie pani Zadorowej? pytała pani Gasztoldowa.

— Dziękuję pani, matka moja jak zwykle w lecie, czuje się zdrową i znacznie rzeźwiejszą, ukłony przesyła państwu — ale poleciła mi powiedzieć pani, że ma żal do niej; ja ufając prawu, w moc którego posłów ani wieszają ani ścinają, zlecenie to spełniam, mówił z uśmiechem Janusz.

— Proszę powiedzieć mamie, że z całą pokorą poczuwam się do winy, i przyznaję że już strasznie dawno nie byłam w Starym dworze, ale panna Zahornicka nauczycielka moich panienek odjeżdżała, wyszło się tym sposobem ze zwykłego trybu a przy domowem zajęciu wybrać się z domu ciężko, ale poprawię się, z pewnością poprawię.

Wszyscy zasiedli przy stole, Anna nalewała herbatę; na stole ustawione były zwykłe wiejskie przysmaki, a więc masło żółciutkie i świeże dziś bite, chleb pytlowy doskonale wypieczony, ser tłusty z kminkiem, wyborna wędlina, szynka, salceson, półgęski nęcące zdaleka kolorem i zapachem, a wśród tego wszystkiego kraśniał spory półmisek bujnych ogrodowych poziomek, w tej porze jeszcze liczących się do nowalii, do nich śmietanka cukier tłuczony. Wanda pomagała Annie i wkrótce wszyscy byli obsłużeni a wśród rozmowy podwieczorek nieznacznie niknął ze stołu. (*d. c. n.*)

Życie indywidualne i społeczne,

jako materyał dla poezyi,

skreślił

ANTONI PILECKI.

III.

Jedną z kardynalnych podstaw życia społecznego jest zasada, że wszystko, co stanowi płód wytwórczości jednostki poza obrębem życia indywidualnego i wchodzi zatem na arenę ogólnego znaczenia, wszystko, na wyprodukowanie czego społeczeństwo wydaje pewne zasoby materyalnego lub duchowego kapitału, winno służyć dla jego rozwoju i pożytku, winno nosić na sobie znamię utylitaryzmu społecznego. Że poezya jest wytworem społecznego znaczenia, o tem nikt zapewne nie powątpiewa. Minęły już czasy, kiedy kapłani jej sądzili się za wyzwolonych z więzów służenia współbraciom, głosząc, że jak ptaki niebieskie, dla siebie tylko śpiewają, dla zadowolenia pragnień własnego ducha. Zwyczajnych śmiertelników uważali za niegodnych niebiańskiej pieśni, którą wieszczy duch natchnął w ich łona. „Nie dla was pieśń ducha naszego, wy jej nie zrozumiecie!"—wołali z goryczą. Więc niby dla siebie tylko śpiewali wielcy wieszczowie przeszłości, zadowolenie

U OGNISKA.

—(T. T.)—Chciało... szczęście, aby felieton nasz z poza przeszłego tygodnia wpadł w ręce jednemu z panów dyrektorów ogródkowych teatrów, przebywających obecnie w Warszawie. Jeżeli czytelnik przypomina sobie, ośmieliliśmy się tam wypowiedzieć parę skromnych zdań à propos kwestyi, jakie mianowicie sztuki należałoby się przedstawiać na scenach wymienionych teatrów, o ile te istotny pożytek moralny, mają szerzyć pomiędzy klasą niższą społeczeństwa, dla której głównie są przeznaczone.

— Czego wy chcecie od nas? — zagabnął mnie dyrektor, na progu zaraz swojego mieszkania, gdym wchodził do niego. Piszecie nam ciągle abyśmy dawali sztuki wyższe, podnioślejsze, tendencyą moralną i artyzmem—komedye Fredrów, Korzeniowskich etc.—dawali je tym, którzy wyraźnie, za swoją złotówkę lub półrubla, domagają się od nas (a mają do tego prawo)! Offenbacha, Lecocqu'a i innych podobnych dyabłów. Jakżeż mamy przedstawiać wyższe lepsze utwory, kiedy tych utworów nikt słuchać nie chce? Przejdź się pan na próbę po Warszawie i wstępując od domu do domu, pytaj po kolei mieszkańców, co wolą: „Córkę pani Angot" czy „Hamleta"? Przysięgam panu, że na tysiąc ludzkich egzemplarzy znajdziesz pięciu zaledwie, którzy ci odpowiedzą: „Hamleta". Reszta roześmieje się nawet na samo zapytanie; obrazi się prawie, jak można ją posądzić o to, aby ona podobnie smutną i dziwaczną sztukę jak „Hamlet" wolała, od pełnej humoru, wesela i zabawnych śpiewek, operetki francuskiego autora.

A przyznasz pan przecie, że my groszów nie zbieramy na gościńcu. Państwo ze swoich tam ławek, któreście sobie zakupili, śmiejecie się tylko i *bis* wołacie, ale nam trzeba tylko na wszystkie strony *płacić* i *płacić*. Za kapelusz Hamleta i trykoty Pięknej Heleny jednakowa brzęcząca moneta. Nic nie pomoże! Za śmiech i za łzy artystek tenże sam pieniądz, kurs w kraju mający. No to jakże?—z czegóż to będzie, gdy sto osób przyjdzie na widowisko? Żyjemy z pracy swojej jak każdy inny, i ta praca chleb nam musi dostarczać — inaczej... stanie się z nami jak z panem Bartelsem; i teatrzyki nasze, ze wszystkiem co w nich jest i przy nich, komornicy pięknego poranku na bruk wyrzucą!

— Lecz— —wtrąciłem.

— Co lecz? — przerwał mi broniący sprawy swojej dyrektor. Pan chcesz powiedzieć może, iż my to sami, my sami niby, przyzwyczailiśmy publiczność do smakowania w Offenbachiadach; że gdybyśmy od początku zaraz samego wzięli się do dawania sztuk wyższych, znaleźlibyśmy dziś dość amatorów na opłacanie Korzeniowskiego i Szekspira?

— Właśnie to chciałem powiedzieć — rzekłem nieśmiało.

— A otóż!... Przewidziałem pańską intencyą—odparł dyrektor. Co do tego zarzutu, drogi panie, to dziwi mnie bardzo, dziwi szczerze, jak wy ludzie inteligentni i którzy przecie nie chodzicie po rozum do kieszeni, możecie nam brzygać w oczy podobnie niesprawiedliwemi wymówkami — robić to tak uparcie i z taką dobrą wiarą — jak robicie! Czyż podobna przypuścić, aby teatry ogród-

ducha własnego miało być jedynem kryteryum podniosłości ich pieśni. Tymczasem wielki głos tłumu, dla którego była ona jasną pochodnią życia, wspaniałe światło odrodzenia, którego ona również była często zwiastunem, wbrew zaprzeczają temu twierdzeniu, wykazując jasno, że duch potężnej twórczości wieszczej wnika w sprężyny życia, odradza niekiedy społeczeństwo całe i do wielkich czynów je prowadzi. Sądzę, że nie potrzebujemy tu nawet przytaczać przykładów. Najbardziej powierzchowny rzut oka na księgę dziejów ludzkości, a w szczególności społeczeństwa naszego, jasno nas o tem przeświadcza. Czem była epoka Szekspirów, Byronów, Szyllerów, Goetów i Mickiewiczów! Duch czasu ją wydał, a ona była jego znamieniem, hasłem i pobudką. Sztandar wieszczego ducha szedł zawsze obok sztandaru wiedzy, na równi z nim prowadząc ludzkość po drodze życia. A kto wie, czy w ubiegłe wieki większość bardziej za pierwszym niż za drugim nie podążała. Potęga myśli nie dojrzała jeszcze, uczucie silniej od niej działało, a w masach i dotąd silniej jeszcze działa. Wszystko więc, co porywało serce i wyobraźnią, zapalało tłumy.

Widzimy zatem jasno, jak potężnym motorem życia społecznego jest twórczość poetyczna. Śpiewak działa na arenie ludzkości, jest kapłanem przy jej ołtarzu. Z potężnych uczuć ludu, z łez i krwi jego całopalne składa on ofiary. Poeta tworzy nie dla siebie, a dla społeczeństwa. Ono wykarmiło duszę jego, ono talent jego wypielęgnowało, i słusznie żąda za to należnej daniny. Zresztą cóż jest celem poezyi! Służenie dobru i pięknu? W samej rzeczy. Lecz dla kogóż to dobro i piękno, czy samo dla siebie, czyż nie dla duchowego odrodzenia społeczeństw ludzkich służyć powinno? Ostatecznie więc wynika, że poezya, hołdując idei dobra i piękna, służy zarazem i społeczeństwu. Ze szlachetnego kruszcu tych sił potężnych wytwarza ona drogocenne perły, które składa na wspólnym ołtarzu ludzkości.

Poeta zatem tworzy dla społeczeństwa, mając na celu uszlachetnienie jego popędów uplastycznieniem podniosłych idei życia. Skąd więc materyał dla tej twórczości? Sama idea dobra i piękna, jest abstrakcyą, którą trzeba przyoblec w szatę życia. A gdzież tej szaty, jeżeli nie w życiu samem, szukać należy! Czy w błękitach niebiańskiej kontemplacyi, czy w porywach zachwytu i natchnienia, który jest tylko jedną z duchowych sił wytwórczości, a nie materyałem dla niej? Czy może myśli zamkniętego w sobie ducha, będą dostateczną karmią dla twórczości poetycznej, czy indywidualne porywy serca, aczkolwiek wielkie tym ostatnim przypisujemy znaczenie? Prawdziwy poeta wylewa to, co drży w jego piersi, ale uczucia to podsłuchane w sercach braitnich; boleść i gorycz, któremi pieśń swoją napawa, ze zbolałego wyssane są łona. Płacze on własnemi łzami, ale są one zarazem łzami współbraci. Słowem, indywidualność poety, nadaje tylko pewną formę jego produkcyi a sam duch jej jest duchem współczesnej ludzkości.

Widzimy zatem, że głównym celem twórczości poetycznej jest służenie ogólnemu zadaniu społecznego życia, słowem utylitaryzm społeczny, pojęty w ogólnem i podniosłem znaczeniu. Idea piękna i dobra jest tylko właściwym jej środkiem działania. Nie ubliża to zupełnie świętości tej idei, która nie schodzi tu bynajmniej ze swego piedestału i pozostaje na zawsze kardynalnym warunkiem twórczości poetycznej. O wzajemnym stosunku tych dwóch elementów: idei dobra i piękna z jednej strony, a społecznego jej utylitaryzmu z drugiej, w innej pracy, jeżeli okoliczności pozwolą, szerzej może pomówimy. Postaramy się tam wykazać, w jaki sposób elementa te dadzą się połączyć z sobą, i o ile potrzeba zostawić sztukę specyalnym warunkom jej istnienia, aby spełniła należycie podniosłe swe zadanie. Tymczasem przeprowadziliśmy cały ten proces rozumowania dlatego jedynie, że wprowadzenie do poezyi zasady utylitaryzmu o tyle, o ile nie ujmuje ona znaczenia kardynalnym warunkom samej twórczości, pozwala nam objąć daleko szerszy zakres społecznego życia, gdy tymczasem ci, którzy odrzucają zupełnie tę zasadę, wykluczają pewne jego strony z dziedziny prawdziwej sztuki, o czem zresztą później w krótkości napomkniemy.

Jak w poprzednim artykule przyjrzeliśmy się bliżej różnorodnym objawom życia indywidualnego, tak w tym zrobimy też samą analizę nad życiem społecznem. Jest ono wytwórczością ducha społecznego, który ma swój własny obręb rozwoju i objawów, niezależnie od zjawisk ducha indywidualnego, lecz z drugiej strony w rozwoju i objawach obu napotykamy jedne i te same pierwiastki. Uczucie, myśl i wola, działają i tu całą pełnią potęgi swojej. Pierwiastki te, same w sobie są poniekąd tylko sumą popędów i zdolności ducha indywidualnego. Lecz warunki życia społecznego ulegają pewnym prawom i wytwarzają pewne zjawiska, które noszą zupełnie odrębną, czysto społeczną cechę. Prawa te i zjawiska, aczkolwiek mogą niekiedy opromieniać wytwórczość poetyczną światłem podniosłej idei społecznej, ściśle jednakże biorąc, nie stanowią właściwego jej materyału. Myśl twórcy uplastycznia je w pewnych charakterystycznych konkretnych zjawiskach, uwydatnia w sytuacyach, które obok społecznego znaczenia, noszą na sobie pewną cechę indywidualności.

W poezyi dydaktycznej i dydaktyczno-lirycznej występuje niekiedy sama idea, w dźwięku potężnej pieśni brzmią niekiedy bardziej abstrakcyjne zasady życia społecznego. Jaśniej to wykażemy na przykładzie. W lekkim, więcej nawet lirycznym niż dydaktycznym wierszyku, rozwiązuje Mickiewicz ważną kwestyę społeczną: wiara i uczucie, czy też myśl i zimna analiza mają wziąć przewagę nad duchem ludzkim. Ileż to zresztą mamy różnorodnych i różnej wartości drobnych utworów poetycznych, gdzie w kilku silnych dźwiękach pieśni drży podniosła idea społecznego życia w czysto abstrakcyjnej szacie, nie uwydatniona w żadnym fakcie, w żadnej sytuacyi. Są to jednakże rzeczy mniejszego znaczenia w dziedzinie sztuki. Głównem jej zadaniem jest uplastycznienie pewnej idei w faktach życia.

Jak celem jednostki jest wszechstronny jej rozwój i szczęście materyalne i moralne, tak i społeczeństwo całe winno dążyć do rozwoju wszystkich sił swego organizmu, do szczytu doskonałości. Społeczeństwo, również jak pojedyńcza jednostka, ma swoje potrzeby i dążności, tak materyalnego jak i duchowego znaczenia. Droga do zadowolenia tych potrzeb i dążności jest drogą do szczęścia ogółu całego. Ale droga rozwoju, to droga walki, tak z zewnętrznemi okolicznościami, jak i z wewnętrzną różnorodnością żywiołów. Jeżeli wnętrze ducha pojedyńczej jednostki bywa często areną potężnej walki uczuć i popędów, to cóż mówić o zbiorze takiej masy różnorodnych duchowości napiętnowanych różnym charakterem potrzeb i dążności swoich. Walka, wieczna walka jest znamieniem społecznego życia, a droga jej prowadzi do rozwoju. W jakim kierunku uszlachetnia i jeszcze bardziej uszlachetnić powinna tę walkę cywilizacya naszego wieku, o tem wspomnieliśmy już w pierwszym artykule.

---

kowe, które od lat kilku dopiero zaledwie istnieją, mogły wywrzeć wpływ o tyle stanowczy na smak publiczności, iż ta odrazu zmieniłaby upodobania swoje, które miała do autorów dramatycznych tego lub innego rodzaju, i kochając wczoraj Szyllera lub Szekspira, zapragnęła dzisiaj Lecocq'a albo Offenbacha? Odkądże to teatr stał się główną szkołą, główną fabryką, że tak się wyrażę, *ducha czasu*? Ja myślę, że on jest tylko tegoż *ducha czasu* wyrazem. Kierować smakiem i upodobaniami ludzi—tę władzę jeszcze przyznać mu można; ale, wpływ główny, wpływ wyłączny na tenże smak i upodobanie—panowie!—musicie być po butelce koniaku.

Jeśli zresztą już chcecie utrzymywać, że scena tak wielkie przewroty wśród społeczeństwa dokonywa, że ona do Warszawy sprowadziła cynizm i pustotę, — to czemuż się z wymówkami swojemi nie zwrócicie do dyrekcyi Wielkiego Teatru, do reżyseryi Teatru Rozmaitości, a do nas biedaków, którzyśmy przyjechawszy do Warszawy, zastali już gotowy ludek, wołający w niebogłosy o Offenbacha? To te dwa teatry, oba magnaci który mają tyle środków na opłacanie swoich aktorów, musiały jednakże ratować się *kankanem*, a my, my nędzarze, żyjący z dnia na dzień z zapracowanego grosza, mamy się obchodzić bez niego?

Jesteście niesprawiedliwi!

Tak zakończył mowę swoję pan dyrektor, i że mowa pełna była słusznych uwag, jak widzicie sami, pełna racyi, którą zbijać byłoby trudno,—słuchałem jej w milczeniu i w całości ją teraz nawet podaję. Komentarze do mnie nie należą, fakty bowiem tylko są rzeczą kroniki—uczeni niech *filozofują*.

Do faktów takich właśnie należy i śmierć świeża warszawskiego zwierzyńca, raczej zawiązku dopiero, z którego miał się wykluć zwierzyniec. Fakt smutny i dowodzący po setny raz: *czem jesteśmy*. Jakkolwiek bowiem wyrzucenie na bruk uliczny przez komornika, dwóch niedźwiedzi, kilku psów i lisów, kilku ptaków etc., w niepowodzeniu tylko prywatnych interesów jednego człowieka miało bezpośrednią przyczynę, — pewnem jest jednakże, iż gdyby ten człowiek, który bądź co bądź dla dobra publiczności pracował, znalazł był więcej poparcia ze strony tejże publiczności, nie stałoby się było z nim, jak się stało. Słyszę też mruk niedźwiedzi, których pan Bartels do zwierzyńca swojego sprowadził, karmił i poił przez czas długi, a które teraz nic nie zawiniwszy światu i, jak to mówią, Bogu duszę winny, pod katowską pałką oprawcy żywot swój zakończyć musiały. „O głupi motłochu"—wołały pewno przed śmiercią—„kiedyż się już nauczysz być mędrszym i sprawiedliwszym? Mędrszym — boć chciałeś zwierzyńca; sprawiedliwszym—boć ci p. Bartels dobrze tylko chciał zrobić, a i my też figury swoje na pociechę tylko twoję chcieliśmy wystawiać! O miasto, które wymyślasz na Berlin, śmiejesz się z Niemców i z Anglików i z narodów innych! A oto patrz—tam—w Berlinie, jest „Zoologischer Garten" i „Aquarium"—są na to środki, by zbiory te utrzymać—a u ciebie tego wszystkiego, ani „zoologicznego ogrodu" nie ma! Głupie miasto, któremu starczy na długie ogony u kobiecych sukien, na koki z grzyw końskich, i turniury z poduszek,—a nie starczy na wyżywienie oto paru lichych niedźwiedzi, które w mury twoje nie same przecie przyszły, a tylko żeś ty je, o mądre miasto, gwałtem z zieleni lasów wywlokło! O miasto przedziwne! pocóż się bierzesz do rzeczy, których ci potem trudno wypełnić? Czemu *pragniesz* więcej

W sferze materyalnych potrzeb—to godziwa konkurencya; w sferze moralnej i umysłowej duchowości—to walka różnorodnych przekonań i popędów duchá, walka, w której prawda odnosi zwycięztwo.

Drogą takiej walki społeczeństwo dochodzi do wszechstronnego rozwoju sił swoich, słowem dąży na wyżyny szczęścia i doskonałości. Oto znamię prawdziwego postępu, oto hasło życia. Leniwa wegetacya w spokoju prowadzi do upadku i rozkładu sił społecznych. Spokój organizmu społecznego—to śmierć, walka—to życie!

Cóż napotykamy w tej walce? Pomijając czysto materyalną jej stronę, aczkolwiek niekiedy i ona potrąca struny moralnych uczuć i popędów, i tym sposobem poruszyć może dźwięk poetycznej nuty, wskażemy tu głównie walkę moralnych dążności.

Otóż w organizmie społecznym znajdujemy różnorodne żywioły moralne. Żywioły te uwydatniają się w różnorodnych kierunkach popędu woli. Skoro więc spotkają się dwa takie kierunki wprost sobie przeciwne, następuje walka, poruszająca cały zasób sił, jakie one posiadają. Potężniejszy bierze górę i rezultat walki jest albo tryumfem prawdy, albo protestem jej upadku. Na arenie tego boju błyszczą potężne światła poetycznych objawów, drży tytaniczna siła uczuć i idei moralno-społecznych.

Starcie się różnorodnych żywiołów życia społecznego najlepiej się ujawnia w sferze tak nazwanych przesądów kastowych, które pod rozmaitemi formami były, są i będą zawsze jednem z głównych jego znamion. Przesądy te naciskiem swej siły przygniatają niekiedy najsłuszniejsze pragnienia serca, wdzierają się despotyczną władzą w sferę najświętszych praw człowieka, gwałcąc je w okropny sposób, słowem, powołują do życia mnóstwo dramatycznych sytuacyj.

Poza obrębem przesądów kastowych, istnieją jeszcze inne źródła krwawych obrazów niedoli i boleści. Wadliwy ustrój organizmu społecznego sprawia, że pewne sfery znajdują się w smutnych warunkach bytu. Silny głos protestu winien tu być dźwiękiem poetycznej nuty.

Na tle tego łzawego żywota, ileż potężnych dramatycznych obrazów wysnuć może myśl poety. Wskazać rany społecznego żywota, zawołać głosem wielkim o pomoc bratnią, oto najwznioślejsze zadanie poety.

W tym względzie napotykamy niektóre nieporozumienia pomiędzy piszącymi o poezyi. Przeciwko tym, którzy pragną ją wyprowadzić na szeroką arenę życia społecznego, powstały głosy, dowodzące jakoby sfera zagadek, społecznych była niewłaściwą i nieodpowiednią dla tej córy marzeń i zachwytu. Ci, którzy tak twierdzą, nie rozumieją zupełnie społecznego znaczenia poezyi i zadania, jakie ona spełnia w tym kierunku. Nie myślimy bynajmniej narzucać sztuce żadnych więzów, krępujących specyalne jej warunki bytu. Rzeczywiście, gdybyśmy żądali od niej ścisłej analizy życia, rozumowanego rozwiązywania jego zagadek, odszukiwania środków zaradczych na zły ustrój społeczny i cierpienia masy, działalność tego rodzaju nie odpowiadałaby właściwemu jej charakterowi twórczości. Inne tu jest zadanie poezyi. Ona odkrywa rany, wysnuwa wzruszające obrazy cierpienia i niedoli, wystawia ideę dobra i piękna, aby w zwierciadle jej niecny gwałt i ucisk tem szkaradniejsze ukazał oblicze. Poezya nie jest lekarzem życia społecznego. Porównać ją raczej można do czułej i kochającej niewiasty, która klęka u nóg ofiary, wskazuje jej rany i głosem miłości o pomoc dla niej błaga.

Czyż straż przy świątyni wielkich idei życia społecznego ubliża niebiańskiej córze natchnienia? czyż świetlaną jej szatę splami dotknięcie tego, co jest najszlachetniejszą zdobyczą ludzkości? Zaiste nie! — to ją tylko uszlachetnić i podnieść może. Każda wzniosła idea społeczna, każdy wybitny objaw życia, przyozdobiony kwieciem piękna i natchnienia, może stanąć na wyżynach prawdziwej sztuki. Jedynem kryteryum jest tu możebność przyobleczenia w szaty, odpowiednie twórczości poetycznej.

Prócz ujemnych objawów, na arenie życia społecznego napotykamy także i wiele podniosłych obrazów cnoty i szlachetności, wiele szczytnych ideałów prawdy i piękna. Tu nowa skarbnica produkcyi poetycznej. Ideałów życia w nim tylko szukać należy. Zlepione z efemerycznej pianki mrzonek, z krainy marzeń, nie mających żadnego związku z rzeczywistością, będą one jakąś chorobliwą, bezcielesną abstrakcyą. Aby płód sztuki miał prawdziwe znaczenie, niezbędnem jest wlać w niego iskrę życia:—w postaciach poetycznych powinniśmy widzieć ludzi, a nie duchów, ludzi krwią i ciałem. Najpodnioślejsza choćby duchowość winna nosić znamię natury ludzkiej. Jeżeli wytwórczość sztuki nie nosi na sobie charakteru prawdy życiowej, jeżeli jest tylko nienaturalnym wybrykiem produkcyi duchowej, wtedy będzie czemś, aczkolwiek może nawet pięknem, ale niezrozumiałem, a nawet poniekąd niesmacznem.

Jeżeli przypatrzymy się ideałom, które stawiali najwięksi twórcy poetyczni, to przekonamy się z łatwością, że były one osnute na prawdziwej tkance życia.

Sądzimy, iż zbyteczną może nawet będzie uwaga, że głównem źródłem twórczości poetycznej jest współczesne życie ludzkości. Aczkolwiek często materyał dla utworu swego bierze ona ze starych dziejów, w każdym razie opromienia ją myśl, stojąca na wyżynie tego wieku, który wydał geniusz poety.

Produktem twórczości, opartej na dążnościach i ideach, krążących w łonie współczesnej ludzkości, są tak nazwane ideały wieku, wytwory najpotężniejszych geniuszów sztuki. To postacie Fausta, Wertera, Manfreda, Gustawa i Konrada.

Wykazaliśmy więc w krótkim rysie, jakie tętna życia napotyka twórczość poetyczna na arenie społeczności. Brak miejsca nie pozwala nam szczegółowo wykazać całego bogactwa różnorodnych sytuacyi, podniosłych idei, całej sfery życia, myśli, uczuć i czynu, które talent poety opromienić może światłem wzniosłego natchnienia. Skarbnica to zaiste wielka, jak cały obszar ludzkości, potężna, jak duch człowieczeństwa, wzniosła, jak blask niebiańskiego światła ideału, który drogom jego przyświeca. Zaiste, gardzić tymi skarbami i zanurzać się jedynie w skorupę swych indywidualnych uczuć i myśli może tylko pospolity karzeł w dziedzinie sztuki. Talent, który nie wejdzie na tę szeroką arenę życia, prędko straci siły swoje i niedojrzałe tylko wyda owoce. Niestety, na polu obecnej twórczości poetycznej, zbyt wielu takich karłów napotykamy.

W następnym, ostatnim już artykule, postaramy się porównać indywidualne objawy życia ze społecznemi jego zjawiskami i wykazać, o ile drugie mają większe znaczenie od pierwszych w dziedzinie prawdziwie podniosłej sztuki i—o ile w pierwszych nawet powinna zawierać się pewna interesująca ogół idea.

---

aniżeli *możesz?* Czemu gdy tak mało *możesz*, masz się za tak *wielkie?*

I wystawiam sobie, że niedźwiedź chciałby mówić więcej jeszcze, ale mu w tem miejscu pałka oprawcy cios zadała.

Zginął lis również i dwa wilki jeszcze, ptaki dzikie i niedzikie rozebrali kupujący pomiędzy siebie—i oto koniec ,,Warszawskiego zwierzyńca" jak na teraz.

Co dalej z tym niewinnym projektem się stanie nie wiemy.

Tymczasem ktoś ma zamiar *Kurzy Instytut* u nas urządzić.

Tak nazywamy zakład, który z inicyatywy jakiegoś porządnego człowieka, powstaje w Grochowie pod Warszawą, celem dostarczania nam kur i kurcząt wypielęgnowanych sztucznie, po cenach naturalnie znacznie mniejszych niż teraźniejsze.

Otóż to mi panie zakład pożyteczny co się zowie! Wystawiamy sobie już naprzód, jak przyszedłszy na obiad do Czuleńskiej lub do Brejbisza, i kazawszy sobie podać porcyą kurczęcia, płacimy za nią... trzy grosze! Aj, aj, aj—toż to człek wydelikatnieje na takim pokarmie! Bo teraz, to doprawdy, co spojrzysz na kogo, to wół! Jakżeż bo inaczej być może przy jedzeniu... samej *wołowiny?*...

Do pożytecznych a pocieszających rzeczy, które nas jeszcze spotkać mają, zaliczyćby należało i otwarcie ósmej klasy po średnich szkołach rządowych, mające wejść w wykonanie z początkiem zaraz przyszłego roku szkolnego. Ale co do tej sprawy my mielibyśmy dużo jeszcze do pogadania; należymy bowiem do osób, które, jak ów pan, co wystąpił niedawno z artykułem w Kuryerze Warszawskim, wolałyby widzieć, aby młodzież nasza ucząc się łaciny i greckiego, była zarazem zdrowsza na ciele, hodowana bardziej troskliwie, i ze względem większym na jej słabe siły, niżli to ma miejsce dotychczas. Dobrą to jest rzeczą, gdy młodzieniec zamiast siedmiu, ośm lat aż uczyć się będzie mądrości—niech się jej uczy choćby lat dwadzieścia, choćby więcej. Ale czyby nie warto zarazem siły w nim rozwinąć przez ćwiczenia gimnastyczne, aby był raźniejszy i mocniejszy?

Tę kwestyą pod rozbiór oddajemy pedagogom naszym.

Z *pedagogicznych* nowin dochodzi nas jeszcze jedna. Oto mówią coraz bardziej *na seryo*, o otwarciu w mieście naszem kursów dla nauki kobiet, w rodzaju tych, jakie istnieją już od niedawna przy Petersburgskiej medyczno-chirurgicznej akademii. Daj Boże, aby rzecz się sprawdziła. Dopieroż to kobiety nasze pokażą nam wtedy, kto zacz są one! Koki pójdą precz—ogony pójdą precz—tiurniury będą naturalniejsze—ot, co sobie najsamprzód z tej reformy projektujemy. A cóż dopiero mówić o reszcie—o rzeczach ważniejszych! Ileż to plotek mniej będzie w Warszawie! Ileż przez to mniej, skandali, kłótni! Małżeństwa będą więcej dobrane—dzieci przyzwoitsze i rozumniejsze—kurz na ulicach zniknie—pseudo-poeci przestaną pisać wierszydła—stąd mniej samobójstw, mniej zabójstw, mniej rozwodów, mniej owych *fatalnych* kolizyi, z których szkoła dramatyczna francuska, mówię wyraźnie *fabryk* (!) bierze wątek do wyrobu swoich scenicznych utworów.

Nic już nie mówię o zmniejszeniu się wydatków na suknie, na drogie wachlarze i rękawiczki, które biedni mężowie i ojcowie rodzin musieli dotąd ponosić. No, komornicy w skutek tego będą wprawdzie mieli mniej do *zajęcia;* niejeden z nich będzie się może musiał podać do dymisyi; ale, czy to nas o to głowa

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg).

Inaczej się ma rzecz z teatrami ludowemi. Tam przedewszystkiem chodzi o wywołanie grubych, jaskrawych efektów. Nie scena jednak główny interes przedstawia dla ciekawego badacza, ale publiczność w takich teatrach. Rzeczywiście nic ciekawszego jak fizyognomie widzów i sposób ich zachowania się, na jakiejś strasznej dramie, lub figlach i dowcipach Pulcinella. Pierwsze i drugie mogliśmy obserwować w teatrze Apollo w Wenecyi. Zdarzyło mi się nawet być świadkiem ciekawego wydarzenia, które wskutek przedstawienia wynikło. Grano dramat Blanca.... (nazwiska nie pamiętam), a treść stanowiło prześladowanie, jakiejś nieszczęśliwej dziewicy przez Jezuitów, pragnących zagarnąć jej majątek, z których to Jezuitów w dodatku jeden kocha się w owej Blance na zabój. W jakimś 10 może obrazie, nieszczęśliwa wtrącona do klasztoru przez swoich prześladowców, ma tam zginąć, skazana na śmierć głodową, przez zamurowanie w celi, gdy św. Karol Boromeusz, zwiedzając klasztory swej dyecezyi wstępuje do tego, w którym jęczy, już zamurowana Blanca, a wiedziony jasnowidzeniem, uwalnia ją z więzienia i karze nikczemnego Jezuitę.

Trzeba było widzieć co się działo między publicznością. Kiedy Blanca wchodziła na scenę, wszystkie twarze uśmiechały się, przesyłano jej pocałunki, rzucano owoce w cukrze osmażane, a już co najmniej wrażliwi, ograniczali się na westchnieniach lub wykrzyknikach: *o carina! poveretta!* i t. p.—Biada za to czarnemu charakterowi! Jezuita za każdym razem witany był gradem zgnitych owoców, skórek pomarańczowych, złowrogiemi giestami i wykrzyknikami z których najłagodniejsze takie jak: *bricone* lub *ladro*, (rozbójnik, złodziej). Nie na tem jednak koniec. Widać, że owa Blanca umiała sobie zjednać szczególną przychylność widzów, czy też, że czarny charakter, nazbyt uczciwie na ich nienawiść zapracował, dość że tłum publiczności, znajdując że kara jaką św. Karol Boromeasz wymierzył zbrodniarzowi, jest za małą w stosunku do jego nieprawości, postanowił go przykładnie ukarać i w tym celu, wychodzący z teatru uchwalili jednozgodnie, poczekać przed gmachem na Jezuitę a następnie schwyciwszy go, ni mniej ni więcej jak wrzucić do kanału, sądząc i egzekwując wyrok sumarycznie wzorem naddziadów, prawych Wenecyan z rady dziesięciu. *Detto, — fatto.* Dorozumiewacie się czytelnicy, że scena była nazbyt ciekawą abyśmy rozwiązauia jej doczekać nie mieli; więc też z tłumem całym oczekiwaliśmy niecierpliwie zjawienia się zbrodniarza. Nie dał na siebie długo czekać i kto wie jak dramatycznie skończyłaby się ta awantura, gdyby na szczęście Blanca, przebrawszy się, nie była pospieszyła za swym prześladowcą, który tym razem, szczególnym zbiegiem okoliczności, był właśnie jej mężem. Interwencya żony ocaliła męża, co najmniej od przykrego przejścia, jeżeli nie od kąpieli; ale nie mniej przeto wyniosłem przekonanie, że nie jest bardzo bezpiecznie grywać w ludowych teatrach włoskich czarne charaktery; gdyż oprócz licznych kontuzyi od rzuconych na scenę łupin, można życie stracić przy wyjściu z teatru. *Avis aux amateurs.*

Pulcinella znacie wszyscy czytelnicy co najmniej z rysunków i sztychów. Jestto zawsze ów filozof o dwóch garbach, jednym z przodu drugim z tyłu, kostyczny jegomość ze spiczastym nosem, zbliżającym się do wypukłej brody, a gadający prawdy ostre wszem w obec i każdemu z osobna, trzymający stronę ludu, biednych i uciśnionych, przeciw bogaczom i możnym tego świata. Farsy z pulcinellem, bywają zawsze inprowizowane, a publiczność bierze w nich czynny udział, gdyż pulcinello odpiera zarzuty widzów, gdyby znajdowali że zamało ma dowcipu, a za pochwały odpowiednie zasyła podziękowania. Największej sławy we Włoszech używają Palcinnelle, mówiący dyalektem Neapolitańskiem. Dlaczego tak jest, nie wiem, lecz przypuszczam, że narzecze to jest właściwym językiem ludowym a stąd ma największą ilość zwrotów i wyrażeń, które są jędrniejsze od innych i przekonania ludu najlepiej trafiają. Zawsze też zwłaszcza w dnie uroczystsze na afiszu czytać można że: Pulcinello mówić będzie po Neapolitańsku, (Il Pulcinello recitera la parte sua in dialetto Neapolitano). Miejsca w takim razie są droższe, dochodzą bowiem aż do 20-u *centesimi* (około 5 kopiejek), a artyści liczyć mogą na liczne zebranie publiczności.

Od teatrów najprościej, przejść mi wypada do kościołów weneckich. Nie zastanawiając się już tutaj nad ich budową, działami sztuki i pomnikami, chcę tylko mówić o samem nabożeństwie. Zacznijmy od sług ołtarza. Księża włoscy, ubierają się dosyć dziwacznie i razić muszą na pierwszy rzut oka, nieprzyzwyczajonych do tego widoku, a rażą tem bardziej nas Polaków, że noszą oni strój zupełnie podobny do tego, w jakim u nas zwykle dyabła malują. Ksiądz włoski, nosi trzewiki ze sprzączkami, czarne pończochy i krótkie pluderki, na głowie trójgraniasty kapelusz i jedynie długi surdut do stanu wcięty, cokolwiek naszych duchownych przypomina. Msze we Włoszech odbywają się nadzwyczaj krótko, tak że w 10 minut całe nabożeństwo jest już skończone a przy śpiewanych, organista wygrywa na chórze urywki z oper, lub skoczne polki i walce. Lud także niedługo przesiaduje w kościele a wyjątek jedyny stanowią msze u ś-go Marka przez księży Armeńczyków według ich obrządku nadzwyczaj długo odprawiane. I po cóż zresztą mieliby się dłużej modlić szczęśliwi Włosi gdy każdy ołtarz w każdym prawie kościele, ma przywiązaną do siebie nieskończoną ilość odpustów i za jednę pobożnie odmówioną Zdrowaśkę, za krótki Ojcze nasz, przy relikwiach świętego, zyskuje się całe lata odpustu, jeśli nie odpust całkowity. Przy tem wszystkiem lud w ogóle jest tolerancki, czego najlepszy dowód stanowi wyrozumiałość z jaką znoszą ciągły hałas, sprawiany przez podróżników szególniej Anglików zwiedzających świątynie. Zresztą o nabożeństwie Włochów będę miał sposobność obszerniej pomówić w liście z Rzymu i tu tylko dla pełności obrazu potrąciłem o nie mimochodem.

Jakkolwiek w samej Wenecyi wszędzie prawie piechoto dojść można, jednak najwłaściwszym sposobem komocyi jest tam gondola. Pomówmy zatem o gondolach i gondolierach, jako najwybitniejszych może cechach Wenecyi.

Gondola, powóz Wenecyanina, jestto łódź formy podłużnej od 15 do 20 stóp długości, cokolwiek spłaszczona z przodu i z tyłu. Przód jest uzbrojeny ostrem żelazem nacinanem, wzniesionem na trzy stopy, które oprócz ozdoby służy na to aby gondolier mógł obliczyć czy gondola przepłynie pod jakiemś wzniesieniem lub nie. Od tyłu znajduje się w niej budka na dwie, cztery lub sześć osób, niska i wąska, do której wchodzi się cofając i na-

---

rozboli? Czekamy — czekamy z upragnieniem owych *kursów* dla naszych kobiet!

Ze sfery kobiecego świata spieszymy donieść czytelnikom, iż z istotną pociechą przypatrywaliśmy się świeżo jeszcze postępom uczennic, które w tak zwanej *Spółce połączonej pracy kobiet* pobierają naukę rzemiósł, kwiatów i buchalteryi. Widocznie *Spółka* prosperuje. Po odbytym niedawno egzaminie z kroju sukien damskich, na którym wychowanki zakładu okazały istotne uzdolnienie i wprawę, przynoszące zaszczyt nauczycielkom swoim,— nowy egzamin z buchalteryi wypadł także bardzo na korzyść jak nauczyciela p. Dr. Kuczyńskiego, tak i jego uczennic. Dziwić się trzeba, dlaczego instytucya, która tak jawny pożytek przynosi społeczeństwu, tak mało rozgłosu znajduje u niego. *Dziwić* albo i *nie*... gdyż właśnie u nas ze wszystkiemi takiemi rzeczami dzieje się podobnie.

Obecny numer pisma naszego, wraz z tą kroniką moją, zastanie już zapewne większość czytelników na nowych mieszkaniach, do których z początkiem świeżego kwartału przenieśli swoje piernaty... to jest chciałem powiedzieć *penaty*. Otóż, à propos tego *przeniesienia*? muszę zauważyć, iż w tym roku jakoś ruch po ulicach spowodowany zmianą mieszkań, wydał mi się w ogólności mniejszym niż kiedykolwiek. Czyby panowie gospodarze zaprzestali już podwyższać komorne? lub też lokatorzy, widząc, że na zmianie nic nie zyskują, że wszędzie chciwość jednakowa, a tylko przez *przeprowadzkę* rujnują się jeszcze i niszczą, zdecydowali się w większej liczbie niż przedtem, zostać na dawnych... *locach stanti?*

Może jedno i drugie wpłynęło na zmniejszenie tej dorocznej... *pielgrzymki narodów;* ale fakt faktem, że pielgrzymka istotnie mniejszą była.

Co do nas, to ponieważ kronikarz ma czasem prawo z czytelnikami swoimi i o własnych interesach pogadać, korzystamy z tego prawa, aby wam powiedzieć, iż należąc do tych, którzy zmieuili mieszkanie, natrafiliśmy w nowym domu na nieszczęście, o jakiem ledwie kto ma pojęcie. Wystawcie sobie, podemną rezyduje jakieś młode małżeństwo niepolskiego widocznie pochodzenia, które na przemiany od rana do wieczora, ale to literalnie jak mówię, wygrywa mi na fortepianie: „La prière d'une vierge par M-elle Bądarzewska"!

Teraz kiedy to piszę, gra mi nawet mąż czy żona, trele z tego arcydzieła, i to gra tak zawzięcie, że mi aż drży pióro w takt treli. *Horrendum*, mówię wam, co to za męka! Porównać ją tylko można z boleścią, którejby doświadczał człowiek, gdyby mu monotonnie krople wody, z góry, ciągle ktoś spuszczał na głowę. Pisano niedawno, nie pamiętam już w jakiem piśmie, o dzikiej manii rozpowszechnionej u nas, trzymania bezwarunkowo w domu swoim fortepianu, czy kto tam z członków tegoż domu ma talent do muzyki czy nie. Wartoż to u nas pisać morały! Gdybym miał ten artykuł pod ręką, posłałbym go natychmiast moim sąsiadom! Wystawcie sobie, skończyli, i da capo od początku zaczynają!.. O Modemoiselle Bądarzewska! mademoiselle Bądarzewska!..

Jakiż zły geniusz natchnął ci rzecz tak piękną, iż ja teraz tak strasznie odcierpieć ją muszę!?

Nie mogę pisać dalej... Rzucam pióro...

---

chylając głowę. Po tem cofaniu i nachylaniu się, gondolier odrazu poznaje czy ma do czynienia z Wenecyaninem czy z cudzoziemcem, który zwykle zgina się zbytecznie i wchodzi przodem do swej budki. Na zewnątrz gondole wszystkie pomalowane są czarno i pokryte suknem lub kirem, a odróżniają je tylko ozdoby, jak lustra, bronzowe a nawet srebrne figury lub okowy.

Gondole w dawnych czasach, były przedmiotem szczególnych starań swoich właścicieli. Patrycyusz Wenecki czystej krwi, do dziś dnia, nie zrobi kilka kroków pieszo, a dawniej starał się o to, aby jego ekwipaż odpowiadał świetnością urodzeniu i majątkowi swego właściciela. To też gondole ubrane były w złoto i srebro, wyrabiane z kosztownego drzewa i po dwóch stronach miały herby swego pana. Dziś są to jeszcze też same statki, prujące wodę z szybkością ptaka w powietrzu, co zawdzięczają formie swojej i lekkiej budowie a przedewszystkiem doskonałej biegłości gondolierów, którzy szczególniej na większych kanałach wymijają się ze zręcznością dorożkarzy najbardziej wyćwiczonych.

Za czasów rzeczypospolitej Weneckiej słynne były na świat cały wyścigi gondolierów tak zwane Regaty, które ostatni raz wznowiono w maju 1846 r. dla Cesarzowej Rosyjskiej, a które niegdyś co rok się odbywały. Były to gonitwy gondoli, kierowanych, najprzód przez czterech, później przez dwóch, wreście przez jednego gondoliera; — przestrzeń do przebieżenia stanowiły cztery mile Weneckie, a nagrody były cztery, z których do ostatniej nie wiem na jaką pamiątkę, dołączano żywe prosię.

A teraz czytelniku zapraszam Cię z nami do gondoli, przejedziemy się po głównych ulicach Wenecyi, obejrzymy gmachy i ludność a potem popłyniemy dalej po pięknej krainie Petrarki i Tassa.

(*D. c. n.*)

Z NAUK PRZYRODNICZYCH.

Składniki ziemi.

II.

Jak rozległą jest powierzchnia ziemi?—Jeden ustrój i układ w uwarstwieniu skał na tej powierzchni.—Skały pojedyncze i złożone. — Kwarc i jego odmiany. —Węgiel kamienny i dyament.— Sól kuchenna.— Minerały wapnia. — Szafir, rubin, topaz, ametyst i szmaragd.—Kolin.—Feldspaty.—Granat i Serpentyn.—Amfibol i Piroksen.— Tkaniny arbestowe.— Metale i ważniejsze ich związki.—Żywice ziemne.

Wielkość ziemi oznaczoną została z dość ścisłą dokładnością—średnica jej łącząca oba bieguny 1713 mil wynosi, a powierzchnia blisko 9,300,000 mil kwadratowych zajmuje—powierzchnia ta przedstawia się przeróżnie.—Tu wyniosłe góry, ze szczyty sięgającemi w obłoki, tam znowu w głąb zapadłe doliny, wąwozy, stepy i pustynie. Geologom zawdzięczamy zbadanie składników skorupy ziemskiej — spostrzeżenia ich udowodniły, że na całym obszarze naszej planety jednakowa jest budowa wewnętrzna pokładów i jednakowe ich uwarunkowanie. Bazalty i gnejsy europejskie niczem się nie różnią od amerykańskich jeden bowiem mają ustrój i tenże sam układ.

Skałą nazywamy masę mineralną złożoną z kryształów, ziarnek lub blaszek jednego minerału, albo też będącą zbiorowiskiem kilku minerałów z sobą połączonych. Stąd dzielimy skały na *pojedyncze* i *złożone* czyli *jednorodne* i *mieszane*. I tak, do pierwszego rodzaju skał należy marmur, gdyż składa się tylko z drobnych ziarnek wapienia, do drugiego zaś działu odnosi się granit w skład bowiem jego wchodzą trzy minerały: kwarc, feldspat i mika.

Niepodobna nam tu wdawać się w szczegółowy opis geologiczny skał, gdyż przechodziłoby to ramy pobieżnego artykułu, poprzestaniemy więc tylko na wskazaniu ważniejszych składników ziemi, zaczynając od minerałów jednorodnych.

Pierwiastek zwany *krzemem*, w połączeniu z tlenem tworzy kwas krzemny, czyli krzemionkę, która stanowi główną masę stałej skorupy ziemskiej.

Krzemionka jest główną częścią składową minerałów *kwarcowych*.

Kwarc pospolity występuje w masach krystalicznych, ziarnistych zbitych lub w kształcie kamyków okrągławych, zwanych *zanogcicą* albo wreszcie w postaci piasku. Kwarc ziarnisty tworzy *kwarcyty*, a pomieszany z innemi minerałami, skały złożone.

Posiadamy rozmaite odmiany kwarcu: różowy, niebieski, zielony, mieniący się, zwany *kocim okiem*, *awanturyn* z żółtemi i czerwonawemi blaszkami miki, wreszcie *kwarc żelazisty*, skrystalizowany w masy zbite nakształt słupów, którego najpiękniejszemi okazami są bez wątpienia *Hyacynty z Kompostelli*, znajdywane na S. Jago.

Do rodziny kwarców należy *Chalcedon*, przedstawiający się w postaci mas kulistych barwy najrozmaitszej. Czerwonawy lub żółty nazywamy *krwawnikiem*, zielony *chryzoprazem*, ciemnozielony, żółto i czerwono nakrapiany *heliotropem*. Chalcedon pręgowany w paski czarne z białemi nazywa się *onyksem*, w prążki zaś białe z czerwonemi *sardonysem*.

Kryształ górny jest kwarcem skrystalizowanym przypominającym dyament. Najokazalsze jego kryształy pochodzą z góry S. Gotarda i z Madagaskaru. Ametyst ma barwę fioletową, mniej lub więcej mocną, odpowiednio do ilości tlenku manganu, który tu spełnia rolę barwnika. Prześliczny *Agat*, bywa zwykle mieszaniną różnych odmian kwarcu, jako to: ametystu, chalcedonu i jaspisu.

Z tych kwarców przemysł korzysta; połyskują one w pierścieniach i innych ozdobach jubilerskich. Moździerzyki wyrabiane z *agatu*, a służące do rozcierania ciał twardych, przedstawiają trwałość niepospolitą. Onyksu używano w starożytności do wyrobu kamei. Minerał ten gotowany przez kilka miesięcy w miodzie, a następnie macerowany z kwasem siarczanym, przyjmuje barwy sztuczne.

Do najpospolitszych kwarców należą *krzemienie* — największe ich masy znajdują się u nas około Krzemieńca na Wołyniu, Chełma, Józefowa (w Lubelskiem), Częstochowy i w Krakowskiem. *Rogowiec* odróżnia się od krzemienia odłamem zadzierowym.

Jaspis jest minerałem nieprzezroczystym, zabarwionym na żółto, czerwono i brunatno, *łupek krzemionkowy* zaś składa się z kwarcu, gliny, wapna i tlenniku żelaza.

Krzemionka w połączeniu z wodą, tworzy *opal*, kamień odróżniający się od innych szczególną własnością gry kolorów, co nazwano *opalizowaniem*. *W opalu szlachetnym*, mienią się barwy zielona, czerwona, błękitna i żółta, *hydrofan* przejawia te odcienia dopiero po zwilżeniu wodą.

Węgiel jest zasadą najpiękniejszego minerału, to jest *dyamentu*, który odznacza się nieporównaną pięknością blasku i niepospolitą twardością. Dyament jest czystym węglem skrystalizowanym. Gdybyśmy zdołali w naszych ogniskach otrzymać tak wysoką temperaturę, iżby w niej mógł się stopić węgiel, otrzymalibyśmy bezwątpienia ów drogocenny kamień. Niestety, takiego żaru nie możemy pozyskać—nie mamy do tego środków. Gdyby wreszcie człowiek sztuczną drogą mógł wytwarzać dyamenty, nie wieleby mu to przyniosło korzyści—stałyby się one wówczas bardzo pospolitemi, a tem samem straciłyby najniezawodniej na wartości. Najwięcej dyamentów dostarczają Europie Indye Wschodnie i Brazylia. Jednostką wagi dyamentu jest karat, równający się 255 miligramom, a $49^1/_2$ takich karatów odpowiada wadze jednego łuta polskiego. Karat *dyamentu szlifowanego* czyli *brylantu*, kosztuje około 100 rubli,—wszakże cena tego kamienia podnosi się wysoko w miarę powiększania się jego wielkości. Brylant ważący pięć karatów, kosztuje już dwa lub trzy tysiące rubli. Brylant Wielkiego Mogoła, będący własnością korony angielskiej, zwany *Ko-hi-nur*, waży przeszło 180 karatów i szacowanym jest na kilka milionów funtów sterlingów. Brylant zwany *Regentem*, znajdujący się w skarbcu francuskim, waży 136 karatów, a wartość jego szacują na 8 milionów franków.

Do rodziny minerałów węglowych należy *Grafit*, przedstawiający się w postaci kryształów tabliczkowatych. Grafit znajdywanym bywa najczęściej w hrabstwie Humberland w Anglii i w Passau w Bawaryi. Używają go na tygle ogniotrwałe, służące do roztapiania metalów—z grafitu też wyrabiane są ołówki.—Szarawo czarny *antracyt* występuje w pokładach dawnych formacyi, osobliwie w Niemczech, Francyi i w Ameryce Północnej, używanym bywa za materyał opałowy w robotach hutniczych.

Najcenniejszym jednak z tych wszystkich produktów kopalnych jest *węgiel kamienny*, ów prawdziwy *Ko-hi-nur* jak go nazwał słusznie pewien lord angielski. Z niego otrzymujemy przedziwny materyał opałowy, światło gazowe, prześliczne farby anilinowe i barwniki do tkanin i płynów. Węgiel w wielu krajach jest najzasobniejszem źródłem bogactwa narodowego, lecz niestety wyczerpywanym bywa równie jak drzewo z naganną nieoględnością. Koleje żelazne pochłaniają corocznie masy tego szacownego materyału, przemysł eksploatuje go niemniej na przeróżnych drogach. Węgiel kamienny zawiera w sobie 90% węgla, tlenowodor i azot w rozmaitych stosunkach, oraz 20% ciał mineralnych, w pośród których zawsze się mieści piryt żelazny. Z pośród jego odmian odróżniamy węgiel *łupkowy*, *grubo ziarnisty*, *włóknisty*, *zbity*, *smołowy i ziarnisty*, zwany też *smołącym*.

Węgiel brunatny czyli *lignit* najczęściej posiada budowę drzewiastą, obok tego bywa blaszkowaty, zbity i ziemisty, z rozłamem muszlowym. Ilość zawartego w nim czystego węgla, dochodzi 80%. Z odmian jego wymienimy *lignit drzewiasty*, *zwyczajny*, *kruchy*, *papierowy*, używany do fabryk parafinu, *smolowy i ziemisty*.

Torf powstał z butwienia szczątków roślinnych najmłodszych utworów geologicznych, a głównie z rośliny zwanej *torfowcem* (Sphagnum), rozrastającej się na bagnach torfiastych. Najlepsze torfy mają barwę ciemną i znaczną ciężkość gatunkową, i takie należą do dawniej wyformowanych.—Torfy młode są lekkie, koloru brunatnego i niewielką przedstawiają wartość opałową.

W pokładach ziemnych znachodzimy też *sól kamienną* czyli *kuchenną*, będącą chlorkiem sodu, to jest związkiem pierwiastków zwanego *chlorem* z metalem *sodem*. Kopalnie soli posiadamy w Bochni i Wieliczce—nie tyle już zasobne istnieją w Hallein w Austryi, w księztwie Salzburgskiem. W Hiszpanii pod Cardona wznosi się cała góra solna na 550 stóp wysoka. Niekiedy sól wykwita z ziemi i po-

krywa ją jakby szronem, co ma miejsce w stepach solodajnych środkowej Azyi, w Ameryce południowej i w górach Afryki. Sól taką nazywamy *samosadką*. Wreszcie w stepach kirgizkich i w Krymie istnieją jeziora słone, w których po odparowaniu wody, pozostaje warstwa soli kuchennej. (*D. c. n.*)

O wpływie rozwoju ekonomicznego na CENY I DROŻYZNĘ.

ODCZYT

Adolfa Suligowskiego. [1]

Na żadnem polu działalności nie uwydatnił się potężniej popęd towarzyski człowieka, jak w stosunkach ekonomicznej wymiany. Odosobnienie i wystarczanie samemu sobie nie zgadza się z usposobieniem ludzi. Już na najniższych stopniach kultury, człowiek zbliża się do podobnych sobie, szuka u nich pomocy w potrzebach życia i wymienia swoje usługi za owoce pracy innych. Raz wszedłszy na tę drogę, idzie dalej. Wymiana usług staje się coraz częstszą i coraz bardziej konieczną. Człowiek nie może już sam bezpośrednio wszystkich swoich potrzeb zaspakajać, lecz dąży do tego, aby za produkta własnym trudem zdobyte pozyskać od innych to, co do utrzymania życia okazuje się niezbędnem.

Lecz z biegiem czasu bezpośrednia wymiana jednych przedmiotów za drugie, łączy się z licznemi trudnościami. Przy bardziej rozwiniętym podziale pracy, coraz trudniej znaleść człowieka, któryby mógł zaradzić naszym brakom, a potrzebował tego właśnie, czego my mamy pod dostatkiem. Co więcej, wymiana w naturze spotyka nieprzezwyciężone przeszkody i z innych jeszcze powodów, a mianowicie, ze względu na ilość produktów mających być przedmiotem stosunku zamiennego. Jakże rzadko zdarzyć się może, ażeby np. kowal, robiący topory, a potrzebujący wołu, znalazł handlarza bydła, któryby tyle toporów potrzebował, ile ich potrzeba dla zrównoważenia wartości wołu. Tysiączne okoliczności mogą utrudniać, a nawet uniemożliwiać załatwianie podobnych stosunków.

Potrzeba jest matką wynalazków. Dla uniknienia tych różnorodnych trudności i ułatwienia ekonomicznej wymiany, ludy nawet najmniej ucywilizowane, zaczęły używać jednego stałego towaru, przez wszystkich w ogóle pożądanego, jako pośrednika przy zamianie. U ludów zimnej strefy, przedmiotem tym były futra, u ludów pasterskich woły lub owce, gdzieindziej znowu różne inne przedmioty, jak np. korale, muszle i t. p. Takie jednak pośrednie zamiany zwłaszcza przy wzroście stosunków wystarczającymi być nie mogły. Przedmioty te nie są dogodne; przechowywanie futer zmniejsza częstokroć ich wartość; nagromadzenie bydła pociąga za sobą kosztą i t. d.

Nie należy przytem zapominać, że towary te nie dadzą się bez uszczerbku dzielić na części, a właściciel ich zniewolony jest, albo zbyć je w całości, lub też wstrzymać się od wymiany.

Podobne niedostatki przedmiotów używanych za pośrednika, zniewalały do szukania czegoś nowego, a szlachetne metale, których użycie zwolna upowszechniało się, dostarczyły środka najwięcej odpowiadającego celowi.

Posiadając wysoką cenność przy małej objętości, tudzież dając się dzielić na części bardzo drobne, które jednak nie tracą stosunkowej wartości, metale te najlepiej wypełniać mogą funkcye dobrego pośrednika zamiany, czyli mówiąc inaczej, funkcye pieniędzy. Od chwili wprowadzenia tych ostatnich każdy producent stara się wymienić swoje towary na pieniądze, aby za nie następnie nabyć to, co uzna dla siebie za potrzebne. Nowy środek, jakim odtąd stały się pieniądze, wytworzył nowe pojęcie, mianowicie pojęcie ceny.

Przy dawnej bezpośredniej wymianie chodziło o to, jaką ilość produktów własnej pracy jedna osoba powinna dać drugiej, w zamian za ofiarowane przez tę ostatnią dobra; w taki sposób ustalała się wartość, a stanowił ją ten przedmiot, który oddawaliśmy za inny. Dzisiaj wymiana w naturze nie istnieje, wszystko wymienia się na pieniądze, a wartość wyrażona w pieniądzach, stanowi cenę.

Wypada teraz zbadać, jakie mianowicie jest prawo rządzące wartością i ceną.

W przedmiocie tym było wiele sporów. Adam Smith chce widzieć w pracy źródło wszelkiej wartości, Say identyfikuje pojęcie wartości z pojęciem użyteczności, Ricardo zaś w kosztach produkcyi upatruje klucz do rozwiązania kwestyi.

Gdyby praca była niewątpliwem źródłem wartości, wartość przedmiotów w każdym czasie i miejscu pozostałaby niezmienną; przytem przedmioty, na wyprodukowanie których równą ilość pracy zużyto, musiałyby wszędzie i zawsze jednakową wartość posiadać. Tymczasem tak nie jest. Wartość jednych i tych samych przedmiotów, w każdej chwili w różnych krajach, jak również w jednym kraju w różnych epokach bywa bardzo niejednostajną. Obok tego zaś dyamenty i drogie kamienie posiadają niesłychanie wysoką wartość, chociaż w produkcyi ich praca żadnej prawie roli nie odegrała.

Gdyby znowu wartość zależała wyłącznie od pożytku, jaki abstrakcyjnie rzecz biorąc, dany przedmiot przynieść jest w stanie, wartość dóbr ekonomicznych, byłaby w takim razie bezwzględną w czasie i przestrzeni. Ciągłe przecież kołysanie się i zmiany wartości i cen wszelkich przedmiotów, są stanowczym zaprzeczeniem podobnego założenia.

Nie można również twierdzić, aby wartość zależała wyłącznie od kosztów produkcyi, w podobnym bowiem razie możnaby stąd wyprowadzić też same konsekwencye, jakie przy rozbiorze pracy, jako źródła wartości, powyżej przytoczyliśmy. (*D. c. n.*)

[1] Odczyt miał miejsce w Warszawie w dniu 23 lutego 1875 r. na korzyść Towarzystwa Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych.

Z ZAGRANICY.

III.

Henryk Kleist.—Poezya i rzeczywistość.—Opera comiqe. — „Carmen.“ — „Przygody bezinteresownego.“ — Dawison i Devrient. — Heyse i Giusti.

W ostatnich czasach w wielu pismach niemieckich w dziwnie skwapliwy sposób wzkrzeszano pamięć znakomitego a u nas mało znanego poety niemieckiego Henryka von *Kleist*. Z początku w gazetach owych, puszczono szereg deklamacyi o niewdzięczności współczesnych dla poety — następnie książe Meiningen wysłał deputacyą do grobu wieszcza, aby *soitdisant* urzędownie sprawdził albo raczej przekonał, że współcześni Kleista nie zasługują na powyższą naganę. Okazało się że grób Henryka Kleista starannie był do obecnej chwili utrzymywanym i wieńczonym kwiatami obficie gwoli pamięci znakomitego poety i poszanowaniu człowieka nieszczęśnego.

W rzeczy samej twórca „Hermannsschlacht“ i Käthchen von Heilborn i wreszcie autor Michała Kohlhaas“ spoczywa pod kwiecistym nagrobkiem godnym jego pamięci poetycznej. Dziś wszelako przebiega w pobliżu grobu tego świszcząca lokomotywa; o dwieście zaledwie kroków od miejsca, gdzie przed sześćdziesięcioma czterema laty szlachetna krew poety zaczerwieniła ziemię przebiegają wagony z żelazną obojętnością. Niedaleko od miejsca na którem ostatni romantyk dramatycznej poezyi, smutną śmierć znalazł, lokomotywa włóczy brzemię towarowych pociągów ku Potsdamsowi, a w dnie świąteczne pozostawia w tejże okolicy opasłych filistrów i kupczyków pragnących użyć wypoczynku na powietrzu świeżem.

Niegdyś była to miejscowość cicha i milcząca, aż do chwili gdy uczyniono ją stacyą „Wannsee“ przez które niby do Mediny i Mekki podążają do Berlina pielgrzymi zabaw i radości. Gdy komu przyjdzie na myśl zatrzymać się przydłużej, aby złożyć na grobie poety wieniec dębowy, to winien to uczynić ukradkiem, aby nie być przez jakiegoś Schultze lub Müllera osądzonym za don Kichota.

Na kamieniu widnieje napis lakoniczny: Henryk Kleist ur. 17 października 177 r. um. 21 listopada 1811 r.

Jest tu obok grób drugi w którym spoczywa nieszczęśliwa kochanka Kleista, która w skutek chorobliwego swego usposobienia i rozdrażnienia natury w znacznej części była bodźcem dla Kleista, do samobójczej śmierci poety, który zabiwszy przedtem swoją Henrykę Vogel następnie sobie życie odebrał co wymogła na nim pod przysięgą Henrieta.

Przejdźmy jednak do weselszego tematu, który w sezonie tak nużącym swemi upałami bardziej bywa pożądanym od smutnych trenów dawno już zmarłych ludzi.

Zapewne nieraz słyszeliście o nowej wielkiej operze w Paryżu, którą okrzyczano jako jeden z cudów świata. I rzeczywiście tyle nań włożono pracy, czasu, kamieni, marmurów, złota i franków, że trudno aby przy zdolnym i umiejętnym kierunku architekta Garniera nie miała wyjść na coś niezwykle imponującego. Publiczność jednak nasyciwszy się widokiem fresków i marmurów żąda od opery—opery. Tymczasem okazuje się co? że tak zwana *opera comique* pod względem artystycznym wyżej stoi od owego cudu świata. Jakkolwiek przeminęły już świetne czasy tego teatru po wycofaniu się Rogera i wobec trudności dzisiejszych o dobrą śpiewaczkę, mimo to przyznać należy że żaden teatr w Europie nie zdoła się pochlubić towarzystwem tak dobranem do komicznej opery jak wspomniana *opera comique*.

Teatr trzyma się wytrwale zasady że każdy mający być na scenę jego wpuszczony śpiewak, musi być zarazem wybornym aktorem, bez czego najświetniejsze nawet zasoby wokalne nie utorują drogi śpiewakowi do wyborniejszego stanowiska w owym teatrze.

Mise en scene w opera comique uchodzi powszechnie jako wzorowe. Teatr ten jakkolwiek nie wstępuje w ślady innych teatrów w Paryżu i w ogóle stolic Europy rujnujących się na zbytkowne wystawy, mimo to umie zdobyć sobie wysoki stopień teatralnego złudzenia i blasku znakomitem kierownictwem i właściwym żywiołem artystycznym począwszy od orkiestrowego wirtuoza a skończywszy na chórzyście ostatnim. W ostatnich czasach wystawiono operę „Carmen“ młodego kompozytora pana Bizet'a, zięcia Halevy. Tekst

wzięty jest z powiastki Merimmeé'go, obrobiony przez znaną firmę: Mailhac i L. Halevy.

Zdania co do wartości muzyki bardzo są podzielone; zwłaszcza zwolennicy starej klasycznej muzyki nazywają dzieło to płytkiem i powierzchowem, podczas gdy inni znajdują w muzyce „Carmenu" obfitość powabnych melodyi i prawdziwie niewyczerpany zapas przyjemności muzycznych.

Zawadziliśmy o teatr możemy więc donieść czytelnikom o pojawieniu się w Hanowerze książki p. t. „Przygody sceniczne bezinteresownego". Napisał je aktor Sontag brat głośnej niegdyś Henryki Sontag. Tutuł niezbyt właściwy zamiast „bezinteresownego" mogłoby być bezstronnego, gdyż p. Sontag jako aktor interesuje się zapewne teatrem. Wogóle nie wiele jest w książce tej nowego. Dla nas więcej zajmującym jest pobyt autora w Drezinie. Do opisu bowiem z owego czasu wchodzi osobistość warszawianina Bogumiła Dawizon. Wtedy na scenie drezdeńskiej istniał nie zbyt lubiany triumwirat złożony z Dawizona, Emila Devrient i pani Bayer-Bürk. Triumwirat ten dzierżył monopel najlepszych ról usuwając od takowych aktorów drugorzędnych.

Gdy Sontag przybył do Drezna celem wystąpienia na scenie, pozostawiono mu wybór sztuk w którejby chciał wystąpić. Wybór ten jednakże jak się okazało, napotykał na liczne trudności.

— Proszę o rolę Filipa Brock w „Pupilu" Ifflanda. Rozdają tedy role. Zjawia się Emil Devrient i zapytuje: „Kto gra rolę Filipa Brock?" „Sontag" odpowiada reżyser. To być nie może, rolę tę będę grał w zimie, sztuka musi pozostać dla mnie. Wybierz pan jakąś inną rolę, jakiegoś młodszego, dodaje Devrient. Ależ odrzecze Sontag, sztuka wybrana nazywa się Pupil, trudno o młodszą od chłopczyka pozostającego na opiece, odpowiada Sontag. Sontag tedy wybrał inną sztukę między innemi „Malarza." — Jak można było bez mego zapytania zezwolić na sztukę, którą sam obrobiłem, zawołał Devrient, rola ta pozostaje dla mnie.

Dziwna rzecz—powiada autor—że tak znakomici aktorowie, jakby obawiali się emulacyi młodszych, których wogóle nie lubili protegować. Gdy grywali w jakiejś sztuce rozbijano się o bilety. Cały interes sztuki skupiał się w ich grze gwoli ich talentowi. „Kto gra dzisiej, czy Davison, czy Devrient," zapytywano zwykle. Ponieważ niezależnie od tego wszystkiego Davison z Devrienem w niezbyt przyjemnej pozostawali komitywie, publiczność więc, która o tem wiedziała tłumnie schodziła się do teatru na sztukę w której obaj grali role osób sobie niechętnych. „Tasso" Getego, jako rzecz sceniczna nudny „robił kasę" gdy dwaj ci sceniczni atleci urządzili ze sztuki tej koncert w którym z ról dwóch przeciwników przeglądała zawiść prywatna. Publiczność bawiła się słuchając słów wypowiedzianych przez Dawisona:

„Znam błahe wawrzyny, wawrzyny różnego rodzaju; czasami pozyskać je można na spacerach."

Na to zwykle odpowiadał Devrient swoim stentorowym głesem: „Nie marnuj pocisków twych oczu i języka! Daremnie je zwracasz ku wawrzynom na głowie mej niezwiędłym. Drżałbym o wawrzyny gdybyś mi ich w wielkości swej potrafił nie zazdrościć!"

Prywatne owe niesnaski należą do tajemnic zakulisowych, których nikt wyjaśnić nie potrafi dopóki dwie ambicye obok siebie jednocześnie stojące na scenie w artystycznym swym egoizmie pożądać będą chwały. Inaczej też być nie może. Dlatego dziwić się nie należy, gdy dowiadujemy się że aktor, który ilustrując wczoraj na scenie postać jakąś szlachetną porywał serca nasze, potęgą swego nad ludzkiego uczucia, zakulisami w poziomej zawiści, zazdrości oklasków podrzędnemu swemu koledze.

Przed niedawnym czasem znany powieściopisarz i dramatyk niemiecki Paweł Heyse wydał przekład swój poezyi włoskich Giusti'ego.

Giuseppe Giusti zmarły przed dwudziestoma kilkoma laty, postarzały w 41 roku swego życia, wątłego zdrowia lecz niezależnego ducha, uważanym jest ze względu na swój charakter jako najgodniejszy, a ze względu na wpływ jaki wywarł, za najdzielniejszego przedstawiciela młodych Włoch. Młode Włochy, młoda Francya, młode Niemcy—zapewne; ale pominąwszy naturalne różnice klimatu, kraju i narodu, jednym był duch, który od połowy drugiego dziesięciolecia bieżącego wieku aż do 1848 ogarniał cały kontynent. Panowanie dawnych idei napotkało na opór ze strony nowo rozbudzonych myśii. Nawet Gete, który wyrzekł: „wstrętna pieśń, polityczna pieśń" uległ imponującemu Bajronowi. We Francyi pojawiło się dwóch ludzi w nowym kierunku: Paweł Ludwik Courier, który świetnemi pamfletami, ale panfletami tylko, budził do życia i swobody, wreszcie Berenger, niezłomny w swoich przekonaniach i wysoko utalentowany poeta pozyskał sławę w całym świecie. W Niemczech nieobjawiło się nic stanowczego, chyba dawno przeżyty Börne i genialny ale o niewyraźnym charakterze Heine.

Włochy miały satyrę w każdym kierunku. Przedewszystkiem chodzi nam o owego Giusti. Giusti nie należał do rzędu owych negatywnych poetów jak Heine, dla których nie było nic świętego, którzy szydzili, aby szydzić, burzyli aby burzyć bez pozytywnego celu. Giusti w poezyach swoich podaje nam galeryą obrazów obyczajowych odmalowanych z dantyjką potęgą żaru i jaśnością artystyczną. Są tam obrazy, które wieki przetrwają, ponieważ w nich skupiła się cała osnowa i kronika stulecia. Niby potężne freski w okazałym ściśle historycznym stylu trzymane, stawają przed nami jego poezye, które życie społeczności i zrujnowane państwo ilustrują w zestawieniu konstrastowem z żywiołem wiecznej prawdy i piękna. „Zaręczyny" są poematem skreślonym z arcy wesołą i groteskową manierą Hogarta opiewającą związek starej szlachty i dorobkowiczów. Brak miejsca niedozwala nam obszerniej pomówić o znakomitym a mało u nas znanym poecie Giusti, do którego przy pierwszej sposobności wrócimy.

ROZMAITOŚCI.

Luźne notatki z podróży odbywanych po kraju

przez

I. L. Kaczkowskiego.

I.

W Królestwie Polskiem najbogatsze okolice w kruszce i minerały są: powiaty, Opoczyński, Koński, Opatowski, Kielecki, Olkuski, Bendziński i Częstochowski

Kamień wapienny obficie znajduje się w Sulejowie (pow. Petrokowski), pod Tomaszowem Mazowieckim, (Brzeziński), w Chełmie (Noworadomski), w Złotym Potoku (Częstochowski), w Smotryszewie (Noworadomski), w Ojcowie (Olkuski), w Wieluniu, Częstochowie, w Kodrębie i Zakrzewie Wielkim (Noworadomski), w Koziegłowach i wielu innych miejscowościach.

Kamień gipsowy w Skorocicach (Pinczowski), i w okolicach Szkalmierza.

Różnokolorowe marmury w guberni Kieleckiej, których wykaz w liczbie stu dwudziestu zamieściła Gazeta Warszawska w roku zeszłym.

Siarka w Czarkowach (Pinczowski), przy ujściu Wisły do Nidy, oraz w okolicach Żarnowca.

Ziemia słona ciechocińska, miejscami łęczycka i wiślicka.

Ziemia wapnista: wieluńska, częstochowska, w okolicach Kazimierza i Chołma w gubernii lubelskiej.

Ziemia gipsowa koło Buska, Skorocic, miejscami koło Wiślicy, oraz Racławic.

We wsi Wojczy (Stopnicki), odległej milę od Wisły, znajduje się źródło ropy naftowej, zawierające około dwudziestu stóp średnicy, na łąkach dominialnych, w miejscowwści zwanej Smoczym dołem. Ropę tę żydzi okoliczni sprzedają do smarowania osi w miejsce smoły.

Najurodzajniejsza gleba ziemi poczynając od północy jest: ziemia Kalwaryjska, Stawiska, Wiska, Łomżyńska, Czyżewska, Ciechanowska, Wyszogrodzka, Płocka, Drobińska, Dobrzyńska, Warszawska, Błońska, Kujawska, Łęczycka, Wartska, Bendzińska, Miechowska, Proszowska, Szkalbmierska, Lubelska, Chołmska i Hrubieszowska.

Skały z jaskiniami (groty) znajdują się w górze Pustelnicy za Olsztynem blisko Częstochowy. w okolicach Złotego Potoka, Trzebniowa (Bendziński), Smolenia (Olkuski), Ojcowa. W grocie Jerzmanowskiej odkryto w tych czasach obfite pokłady guańa, nietoperzów z rodzaju myszaka (Vespertilio murinus), licznie tutaj gnieżdżących się. Eksploatacya rozwiniętą została na korzyść Niemców, którzy wywożą je do Prus z niepowetowaną szkodą dla rolnictwa krajowego.

Same skały rozmieściły się w części gubernii Petrokowskiej i Kieleckiej, mianowicie w okolicach Suliszewic, Lutowca, Mirowa, Bobolic, Kroczyc, Ogrodzieńca, Piaskowej Skały, Grodziska, Prądnika, Szklar, Morawicy, góry świętej Katarzyny i Pogrodzia—góry Zalejowej blisko Chęcin.

Ammonity czyli wyciski roślin i innych istot zaginionych znajdują się na łupku glinianym, przy węglu kamiennym w Dąbrowie powiecie Bendzińskim. Odciski śllmaków odwiecznych przedstawiających się jak węże skręcone niekiedy wielkości pośledniego koła u powozu, zwanych od ludu: *wężami świętego Wojciecha* znajdują się obficie między pokładami kamienia wapiennego, oraz rudy żelaznej w Wieluniu, Konopiskach, Częstochowie, Olsztynie, Złotym Potoku, Rabsztynie, Ojcowie i w wielu skalistych miejscach, między Częstochową a Krakowem.

Bolomity, przez lud nazywane *strzałkami piorunowemi*, są to ułomki zaginionych ślimaków prostych i znajduję się w tych samych miejscach co i ammonity oraz w opoce wapiennej Kazimierskiej, w kredzie Chołmskiej, a nadto w wielu miejscowościach w stanie rozproszonym.

Legnity znajdują się obficie przy wsi Brzezno powiecie Konińskim—między Józefowem i Szczebrzeszynem gubernii lubelskiej, oraz w pokładach gliny garncarskiej przy Warszawie, Burakowie, Wawrzyszewie, około Myszyńca w powiecie ostrołęckim i innych.

Zwaliska i ruiny dawnych zamków sterczą jeszcze dotąd następujące między innemi: Ciechanowski (w gubernii Płockiej, Czerski (Warszawskiej), Rawski (Petrokowskiej), Łęczycki (Kaliskiej), Drzewicki, Szydłowiecki, Iłżecki, Bałtowski, Podgródzki, Międzygórski, Osoliński, Ujazdowski, Janowiecki, Solecki (Radomskiej), Chęciński, Sobkowski, Ogrodzieniecki, Smoleński, Rabsztyński, Ojcowski (Kieleckiej), Olsztyński, Mirowski, Bobolicki (Petrokowskiej), Kazimierski, Dąbrowicki, Krupski, Stołpski, Chołmski i Rejowicki (Lubelskiej).

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr, 57 Дозволено Цензурою, Варшава 10 (22) Іюля 1875 г. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 42).

Tymczasem cała wieś wyszła, żeby się przyglądać nieznajomemu przybylemu z *Inghilterry* w celu czuwania nad bezpieczeństwem *Królowej Wróżek* i jej kapitana. Silni, o złowrogiem wejrzeniu, o bosych nogach mężczyzni, w niebieskich koszulach, czerwonych czapkach i płóciennych spodniach zwiniętych nad kolanami; matki ze starszemi dziećmi uwieszonemi u spódnicy, a z młodszemi na plecach; młode dziewczyny i chłopcy o śniadej cerze i czarnych oczach, pełni życia i wesołości jak piękne bachantki i fauny; starcy o długich brodach w łatanych płaszczach; okropne stare kobiety, z włosami roztarganemi, zwiędłe, bez zębów, zgrzybiałe, to wszystko się wysypało na wybrzeże, wołając o jałmużnę, o zajęcie, o nagrodę za różne wymyślone przysługi, i zarówno gotowi kłócić się, bić lub kraść pod najlżejszym pozorem.

Mackenzie, drugi dowódca, żywy o kręconych włosach Szkot, mający trzydzieści cztery lub pięć lat, przyjął Debenhama jak zesłańca z nieba i przedstawił całe kalabryjskie pospólstwo, jako stek najgorszych złodziei i rozbójników, godnych bez wyjątku stryczka i szubienicy. I zaczął na nich kląć po Szkocku, pokazując im pięść, co sprawiło tylko, że mężczyzni jeszcze więcej z ukosa spoglądali, stare baby głośniej o jałmużnę się dopominały, a dziewczyny i chłopcy zuchwalszemi się stawali.

— Do rozpaczy mnie prawie przywiedli! zawołał Mackenzie. Mogłem ich zdala trzymać od okrętu tylko każąc moim ludziom strzelać do celu opartego o te skały. Byliby całą miedź ze spodu nawet zdarli, gdyby im pozwolić!

I dalej opowiadał jak przez pierwsze dni mieszkańcy wszystkich sąsiednich osad rybackich zbiegali się hurmem, w nadziei, że okręt był zupełnie rozbity i że będą mogli do szczętu go złupić, i jak prócz przedawania świeżego mięsiwa i jarzyn, za które płacono na miejscu, mieszkańcy wsi żadnej usługi nie oddali załodze okrętowej. *Królowa Wróżek* leżała w tem samem miejscu gdzie lądu dotknęła. Cieśle okrętowi ciągle nad nią pracowali, stawiając nowe maszty i drążki, zatykając otwory i robiąc wszystko co było można, dopoki tak leżała, ale do żadnej z tych robót nie przywołali pomocy. Każde upomnienie czy za ratowanie okrętu, czy za robotę jaką, czy za dług jakikolwiek, było fałszem i prostem zdzierstwem.

Równie jak okręt, tak i ładunek stosunkowo bardzo mało ucierpiał. Na dziewięćset trzydzieści sześć beczek łoju znajdujących się na okręcie, zaledwie dwanaście, o ile było można sądzić bez wyładowania okrętu, zostało uszkodzonych wodą morską.

Ale załoga nie okazała się łatwą do prowadzenia. Jak przepowiedział to *Gwiazdy Północnej*, pokusy stałego lądu były silniejsze od powagi drugiego dowódcy i Mackenzie znalazł się w niemożności przeszkodzenia młodszym majtkom udawania się do sąsiednich wiosek.

— Sam musiałem pilnować okrętu, powiedział, inaczej byłbym ich wyciągnął z tych szynków. Ale teraz, kiedy pan przyjechał, będziemy mogli karność utrzymać.

— *Musimy* ją utrzymać, panie Mackenzie, powiedział Debenham.

I chociaż rzekł to bardzo spokojnie, drugi dowódca poczuł, iż taka była jego niezłomna wola.

Miał w samej rzeczy tę wolę, chociaż był mniej pewnym siebie niż starał się okazywać. Ogromna odpowiedzialność ciążyła na nim, i dopiero pojął rodzaj tej odpowiedzialności kiedy ujrzał przed sobą zadanie, jakie miał powierzone. Zadanie to musiał jednak spełnić i jako pierwszy krok pozbył się tłumu, który go otaczał.

Powiedział im, że naprożno się zebrali, bo od niego nic nie dostaną. Jeżeli mieli się o co upominać, mogli przysłać do niego trzech wybranych z pomiędzy siebie do *Albergo del Sole* gdzie ich wysłucha, ale chociażby wymagania ich były słuszne, tylko konsul angielski miał prawo pieniądze im wypłacić. On sam grosza nie mógł dać, i jeżeli chcieli żeby później się z niemi rozmówił trzeba było żeby się w tej chwili udali do siebie. Chciał utrzymać porządek na wybrzeżu i nikomu obcemu nie pozwolić się ukazać w odległości stu łokci od okrętu, ostrzegając ich, że postawi uzbrojoną wartę, której obowiązkiem będzie zatrzymać każdego, ci zaś którzy się do tego przepisu nie będą stosować siebie tylko będą mogli oskarżać w razie wypadku.

Słysząc, że mówił płynnie ich językiem, słuchali go, a widząc że powiedział to, co miał do powiedzenia w sposób prosty i stanowczy i zupełnie się ich nie obawiał, usunęli się w milczeniu i po trochu rozpierzchli się do domów.

Kiedy się rozeszli, a De Benham nie ruszył się i nie spuścił ich z oka dopóki ostatni nie zniknął, kazał Mackenziemu zwołać załogę, zapytał się o nazwisko i stopień każdego majtka, dowiedział się czy który się nie oddalił bez pozwolenia, zapisał imiona dwóch nieobecnych, dwóch innych wybrał do warty naznaczając jeszcze dwóch do zluzowania pierwszych, rozkazał każdemu człowiekowi mieć przy sobie rewolwer i nóż, sam oznaczył miejsce jakiego mieli pilnować i dał im hasło. To uczyniwszy zdał dowództwo Mackenziemu i powrócił piechoto do Severato.

Nie uczynił tego jednak, żeby zjeść obiad i odpocząć, chociaż głód i zmęczenie mocno już mu dokuczały. Niechciał się przyznać, że potrzebował pożywienia i odpoczynku, dopóki nie odszuka brakujących majtków, nie ukarze winowajców, i nie odeśle ich na okręt.

Znalazł ich nareszcie, po długiem dopytywaniu się i chodzeniu po wsi, pijących w nędznym szynku na końcu wąskiej i ciemnej uliczki, i nie bez pewnego niebezpieczeństwa, wyciągnął ich z pomiędzy zgrai dzikich i na pół pijanych ludzi, z których każdy był gotów o byle co wziąć się do noża. Wyprowadził ich ze wsi, i opuścił ich dopiero kiedy byli już na drodze wiodącej do wybrzeża, kazawszy im się przedstawić drugiemu dowódcy.

Wracając wolno do karczmy, o zmierzchu kiedy gwiazdy zaczynały się już ukazywać nad jego głową i robaczki Święto-Jańskie przelatywały oświecając drogę, De Benham doznał przyjemnego uczucia tryumfu. Czuł że silnie ugruntował swoję władzę nad załogą okrętową, i sam się dziwił łatwości z jaką się pozbył tłuszczy zebranej na około statku, na uczczenie jego przyjazdu. Wszystko mu się dotąd udało. Wprawdzie najtrudniejsza część zadania, ta do której doświadczenie przeszłości najmniej go usposobiło, i w wykonaniu której musiał szczególnie się spuścić na radę i pomoc cudzą, nie została jeszcze uskutecznioną, ale to co zależało od niego samego, co miało swą stronę niebezpieczną, i co wymagało odwagi, pośpiechu, silnej woli i wytrzymałości zostało już zrobionem.

Zajęty temi myślami, usiadł do samotnego obiadu, w pustej wybielonej izbie, której okna wyglądały na morze. Środki pożywienia nie były obfite w Albergo del Sole, a przyrządzenie ich okazało się niegodziwem; ale szczęściem dla De Benhama, to słodkie uczucie tryumfu pokryło wszystkie kulinarne niedostatki, i dodało smaku i zapachu omletowi i cienkiemu winu z Gerace. Po obiedzie, pomimo zmęczenia, poszedł jeszcze do proboszcza, dowiedzieć się o chorego, i powrócił do karczmy żeby napisać do matki i do pana Hardwicke. List do tego ostatniego nie był bynajmniej krótkim, bo o wielu ważnych szczegółach musiał mu donieść, ale daleko dłuższym był ten który napisał do matki. Opowiedział jej wszystko co widział i zrobił od czasu wyjazdu z Neapolu, opisywał podróż przez góry, malując krajobraz pędzlem artysty, a ludzi piórem satyryka, i tak był wesoły i rozwlekły, jak gdyby nie był przygnębiony kłopotami i strudzeniem do tego stopnia, że pióro mu prawie z rąk wypadało. Wiedział że te listy, w jego nieobecności, były dla niej prawdziwie chlebem i winem żywota, i nie było rzeczy na świecie dla jakiej i wina, kiedy mógł ich jej dostarczać. Byłby wolał połowę nocy przesiedzieć pisząc do niej, a użyć drugiej połowy żeby pójść tam i nazad na pocztę do Sqiullace, niż jednego dnia nawet, odmówić jej tej radości. Napisał więc najdłuższy i najobszerniejszy list jaki mógł, a potem zaczął dumać o pannie Alleyne.

Jakże mu się to dziwnem wydawało siedzieć tutaj samotnie w tej dzikiej, oddalonej kalabryjskiej karczmie, i myśleć o niej gdy ich kilka set mil dzieliło! Jak dziwnem przypomnieć sobie te trzy tygodnie spędzone w Chillingford, tak bliskie czasem, tak dalekie wrażeniem, jakie zostawiły na pamięci! Zdawało mu się że całe lata upłynęły od tej chwili kiedy razem byli w kościołku pomiędzy górami.... A teraz ona nawet nie wiedziała gdzie się, znajdował! Nie jego w tem była wina; zakazała mu do siebie pisywać, i gdyby go byli wysłali do Australii, zamiast do Włoch, to samo by się stało. Jednakowo, w braku formalnych zaręczyn, miała słuszność i lepiej tak było. W dziewięciu wypadkach na dziesięć, długie takie oczekiwanie przed ślubem jest prawdziwym czyścem na ziemi, a jakież prawo miał mężczyzna skazywać kobietę na tak ciężką próbę? Żadnego — jakkolwiek wielką byłaby jego miłość. Tak, tak, niezawodnie było tak lepiej, szczególniej dla panny Alleyne.

Młody człowiek zamknął oczy, zakrył twarz rękoma i starał się przywieść sobie przed oczy jej obraz, bo nie miał jej portretu, nawet najmniejszej fotografii. Ale łagodne jej oblicze zdawało się uchodzić przed jego pamięcią i niepospuszne było na wszystkie jego zaklęcia. Przypomniał sobie jej oguiste spojrzenie, gdy się uśmiechała, kształt główki, każdy rys z osobna, ale pomimo wszelkich wysileń nie mógł uprzytomnić sobie całości.

Jak w tych zabawkach dziecinnych złożonych z oddzielnych kawałków, które trzeba zgromadzić, wszystkie części zdawały się przed nim leżeć, a nie mógł złożyć całości.

I na próżno nad tem pracując, usnął nareszcie.

ROZDZIAŁ XXVII.

Pan Knolt nie jest zadowolony.

De Benham nazajutrz pojechał do Squillce o półtorej mili wzdłuż wybrzeża; widział się tam z konsulem angielskim i wywiadywał się o sposoby spuszczenia nazad na morze *Królowej Wróżek*. Radził się naczelnika portu i kilku właścicieli okrętów i ajentów okrętowych co do najęcia statku dla przewiezienia ładunku; ale nie było tam budowniczego okrętowego a tylko taki budowniczy mógł zepchnąć z jej obecnego stanowiska *Królowę Wróżek*. Musiał więc udać się do Reggio, o dziesięć lub dwanaście mil, na zachodniem wybrzeżu, a widząc że był tam celem najwygórowańszych wymagań, popłynął do Messyny. Ale zdawało się że gdziekolwiek się ukazał, wiadomość o jego zamiarach go uprzedziła, i że znając jak nagłe były jego potrzeby, Kalabryjczycy i Sycylijczycy zgadzali się w żądaniu osiem razem więcej niż zwykła cena roboty jakiej wymagał. Ajenci okrętowi, właściciele i budowniczowie okrętów zdawali się związani spiskiem przeciw niemu. Odsyłany od jednego do drugiego, umęczony rozmowami, targami, sprzeczkami, oszacowaniami, przeszkodami umyślnie stawianemi, trudnościami umyślnie powiększanemi i ciągłemi podróżami tam i nazad, lądem i morzem, De Benham był prawie do rozpaczy przywiedziony. Ale wiedział już dokładnie co trzeba było wykonać, i jaka powinna być cena tej roboty; tak uzbrojony walczył zacięcie, nie odstępując piędzi gruntu, najprzód z jednym przedsiębiercą, potem z innym, aż nareszcie postawił na swojem, dzięki niezłomnemu postanowieniu bronienia się od zdzierstwa.

— „Dowiesz się pan z przyjemnością, że przebyliśmy już najgorszą przeprawę, pisał do pana Hardwicke, z *Albergo del Sole*, we dwa tygodnie po pierwszem swojem przybyciu do Severato. *Bella Lucia* z Messyny jest już zamówioną do przewiezienia ładunku, i jest nawet w drodze do tego miejsca; ułożyłem się z Paolim, z Reggio, o zreperowanie i spuszczenie na morze *Królowej Wróżek*. Przepędził tu prawie cały dzień wczorajszy z jednym z pierwszych swoich robotników i zgodził się na moje warunki, podpisaliśmy je więc jeszcze przed jego wyjazdem. Dołączam kopią obydwóch układów abyś je pan mógł przejrzeć.

„*Bella Lucia* dobrze jest znana w Messynie; jest to tylko transportowy okręt, budowany także przez Paolego, nie bardzo szybki, ale pod innemi względami zadawalający, objętości 980 beczek i dowodzony przez Aleksandra Ciareli, doskonałego marynarza, i pewnego, o ile może być nim Sycylijczyk. Byłby chętnie dopomógł właścicielowi wymagając jeszcze trzysta dukatów więcej za najęcie statku, gdyby mnie był mógł namówić do tego, ale uważał to zapewne za swój obowiązek, jako sprawiedliwe obdzieranie niewiernego heretyka.

„Kapitan Barclay ma się codzień lepiej; wczoraj pierwszy raz opuścił swój pokój, a dzisiaj rano widziałem go siedzącego pod figowem drzewem poczciwego proboszcza. Mam nadzieję, że kiedy *Bella Lucia* ukończy ładowanie, o tyle będzie zdrowszym, że będę mógł wyprawić Mackenziego z Ciarelim żeby dopilnował dostawy do magazynów. Zdaje mi się, że byłby to układ pod wielu względami zadawalający.

„Jak tylko *Bella Lucia* przypłynie, Paoli zabierze się bezwłocznie do roboty. Powiada że spadzistość wybrzeża w tem miejscu jest bardzo korzystną dla nas, i że gdyby pochyłość była wolną i łagodną jak w Montauro i gdzie indziej w sąsiedztwie, koszt podniesienia okrętu, ułożenia kloców, i t. d. byłby o wiele większym.

„Od czasu kiedy to napisałem mogę z przyjemnością donieść że *Bella Lucia* przybyła. Ciareli szczęśliwie odszukał dobre miejsce do zarzucenia kotwicy w tej samej przystani gdzie *Królowa Wróżek* osiadła. Jutro, z rana zaczniemy przenosić ładunek."

Takiej treści, z dodatkiem jeszcze niektórych szczegółów technicznych i finansowych, był list którym Temple de Benham donosił swemu pryncypałowi o swych postępach. Pan Hardwicke z ukrytem uczuciem uligi, ale okazując tylko jakby przewidziany tryunf, podał go swemu naczelnemu buchalterowi.

— Zdaje mi się, panie Knolt, powiedział, rozpierając się w krześle z uśmiechem ukontentowania, zdaje mi cię, że powinieneś przyznać, iż to jest list nadzwyczajnie zadawalający. Przyznasz zapewne, iż zaufanie jakie położyłem w inteligencyi tego młodego człowieka, jest usprawiedliwionem. Byłeś zdania, że nierozważnie postąpiłem, ale w handlu nawet, panie Knolt, w handlu nawet, gdzie jako prawidło, przezorność jest tak konieczną, zdolność odgadywania charakterów może mieć swoję wartość. Odgadłem charakter tego młodego człowieka, za pierwszem spojrzeniem, za pierwszem spojrzeniem, panie Knolt.

Pierwszy buchalter oddał list nie czyniąc żadnej uwagi.

— No cóż, no cóż? zapytał niecierpliwie pan Hardwicke.

— Ten list mi się nie podoba, powiedział pan Knolt.

— Nie podoba ci się! zawołał pan Hardwicke.

Człowiek o groźnem spojrzeniu, potrząsł głową, scicha zakaszlał, i zażył uroczyście tabaki.

— Nie podoba mi się panie, powiedział, bo nie jest listem handlowym. Niewierny heretyk i figowe drzewo! Do czego to podobne, żeby młody człowiek piszący w interesie do swego pryncypała, pozwalał sobie używać takich wyrażeń, jak niewierny heretyk i figowe drzewo.

— Cieszę się, że nie możesz oskarżyć pana Debenham o ważniejszy występek jak o jaskarwość stylu, powiedział kupiec, i oczy wesoło mu się zaświeciły.

Pan Knolt nie mógł pohamować wybuchu zgrozy.

— Jaskrawość stylu! zawołał. Żaden młody człowiek w podobnem położeniu nie ma prawa być jaskrawym w swoim stylu. Jestto bardzo nagannem! jestto brak uszanowania! jestto, jak mówiłem, brak zdolności handlowych!

I tak objawiwszy swoje zdanie, pan Knolt opuścił z pośpiechem pokój.

Pan Hardwicke roześmiał się spokojnie i cicho ale z wyraźną radością, potarł łagodnie ręce, złożył starannie list i schował go do biurka. Powinien się był spodziewać że stary Knolt znał tylko handel, i zestarzawszy się w swych nawyknieniach i ciasnych pojęciach, byłby chciał cały świat na ich wzór przerobić i każdego mierzyć niemi. Było to zabawnem, i zarazem mogło posłużyć za jeden dowód więcej, jeżeli było jeszcze potrzeba dowodów, zasługi młodego De Benhama. Znajdował go niezdatnym do handlu. Niezdatnym zapewne w tem znaczeniu, że czysta bryła Kalifornijskiego złota, nie zmięszana z żadnym podlejszym kruszczem, nie stopiona w zwyczajnej formie, nie zrównana z ogólną miarą, nie jest prawną monetą, ale jest czystem złotem, mogącem być przekształconem na mnogie sztuki pieniędzy; tak też z tego młodego człowieka, tak zdolnego, energicznego, tak wszechstronnie wykształconego można było zrobić pięćdziesiąt takich handlowych maszyn jak stary Tymoteusz Knolt.

Bo jeżeli pan Hardwicke kiedyś drżał o wypadek swojej próby, teraz nie miał już żadnej wątpliwości, że nowy jego urzędnik był skarbem, skarbem należącym wyłącznie do niego, i przeznaczonym na jego tylko użytek, a przewidywał tyle sposobów korzystania z tego skarbu. Był też interes, naprzykład, w Petersburgu, oddawna zaniechany, jako dług nie do odebrania; gdyby posłał tego młodego człowieka z rozkazem przejrzenia go dokładnie, kto wie czy teraz nawet nie możnaby wszystkiego co do grosza odebrać? Niemniej ważnym był też plan zmonopolizowania handlu wełną w Lassa, plan dotąd niemożliwy, dla praw wykluczających cudzoziemców ze średniego Tybetu; ale teraz gdyby go powierzyć człowiekowi obznajmionemu z językami, odważnemu w niebezpieczeństwach, przytomnemu w każdej okoliczności...

Pan Hardwicke głęboko odetchnął, powstał i zaczął się przechadzać pomiędzy oknem i drzwiami. Marzenia o śmiałych przedsięwzięciach i świetnych powodzeniach przesuwały się przed jego oczami i postanowił jak najprędzej ułożyć się stanowczo z De Benhamem. Był tak uszczęśliwionym ze swojej przenikliwości w odkryciu tego skarbu, że gotów był szczodrze za niego zapłacić.

— Ofiaruję mu, powiedział pół głosem, trzysta funtów na rok; pensyę powiększającą się, poczynając od trzech set funtów, lub od czterech jeżeli trzy mu nie wystarczą. Nie odmówi nigdy takiej propozycyi. Zna swoję wartość, ale nie odmówi.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Przeszłość i terazniejszość.

Odmiennem i czynnem było życie Templa De Benham przy nowych zajęciach. Pan Hardwicke uważał go zawsze za *rara avis*, i chociaż, gdy tak łatwo zdobył stanowisko zaufania i łaski szczególnej, młody człowiek widział się otoczonym temi mniejszemi niebezpieczeństwami, spotykającemi zwykle rzadkich ptaków w świecie zaludnionym zasdrośnemi, zgłodniałemi, kłótliwemi wróblami— jednakowo powodziło mu się i wznosił się wyżej niż śmiał o tem marzyć. Można się było spodziewać, że się stanie przedmiotem zawiści i nieufności wróbli z City używanych przez pana Hardwicke, pomiędzy któremi nagle się zjawił; ale nieprzyjaźń ich nie miała żadnej wagi. Nie mogli ani mu zaszkodzić, ani przykremi się stać, bo praca jego nie była ich pracą, i miejsce jego nie pomiędzy niemi się znajdowało. Praca jego po większej części powoływała go w dalekie strony, i z wielką boleścią tego jednego serca, dotąd nie znającego rozłączenia dłuższego jak na parę godzin, życie jego poświęconem teraz było przedsięwzięciom wymagającym jego oddalenia przez całe tygodnie i nawet miesiące.

Zdawało się, że ta siła która kieruje losami człowieka naraz obróciła się na jego stronę. Znalazł pryncypała umiejącego go oceniać i gotowego wspaniałomyślnie z nim się obchodzić. Za tę pierwszą podróż do Włoch dostał od pana Hardwicke weksel na sto funtów, za powrotem do Anglii. Nigdy w życiu nie posiadał takiej summy, ani nawet czwartej jej części, i chociaż wiedział że zarobił na nią i że go nie przepłacano, sam się dziwił swemu bogactwu. Sto funtów! Doprawdy, wiatr się zmienił i w stronę majątku go popychał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57.

Дозволено Цензурою, Варшава 7 (19) Іюля 1875 г.